

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 18 grudzień 1949 r.

Nr 50 (212)

**TREŚĆ NUMERU:** Eugeniusz Paukšta — Troski dnia powszedniego; Józef Bieniak — Sprawa Pawła Kuli; Konstancja Kuźnicka — Powrót; Stanisław Kolbuszewski — Puszkina a romantyzm; Karol Zajczniewski — Strach przed głodem; Wojciech Bruno — Ku bezklasowości; Jerzy Artemski — Z festiwalu sztuk rosyjskich i radzieckich; Leszcz — Montaż; Jan Dobraczyński — Strzały za horyzontem; Czytelnik uważa, że...

Andrzej Nowakowski

## PRZYSZŁOŚĆ WSI

Dla każdego kto w pełni zdaje sobie sprawę w jakim okresie historycznym żyć mu wypadło, kto rozumie kryzys i rodzący się z niego przełom ogarniający całą kulę ziemską, kto odważnie i uczciwie rozważa narzucające się przez rozwój wypadków problemy — słowem dla wszystkich ludzi świadomych i nowoczesnych, zagadnienie przyszłości wsi jest bodaj najważniejszą sprawą współczesności.

Chociaż bowiem główne drogi postępu cywilizacyjnego i potężnych ruchów społecznych omiają dotychczas wieś i choć rewolucjonizujące życie całych społeczeństw przemiany skoncentrowały się w miastach, przyszłość wydaje się właśnie przed wsią stawiać zadania, tem większe im większa jest dysproporcja pomiędzy zawrotnym ruchem historii, a statycznym trwaniem „wsi zacisznej, wsi spokojnej“.

Konieczności cywilizacyjne w szczególności zaś ściśle gospodarcze nie są bynajmniej jedynymi argumentami przemawiającymi za powszechną i gruntowną przebudową społeczno-gospodarczą wsi.

Sytuacja kulturalna starego świata, coraz widoczniej manifestująca się w jego całej twórczości duchowej schyłkowość, wskazują aż nazbyt wymownie na konieczność przemiany, która by wydobyla na powierzchnię życia zbiorowego nowe twórcze siły. Dlatego też oczy wszystkich zwracają się na nowe, świeże formacje społeczne i z nimi wiążą się jedyne uzasadnione nadzieje na odrodzenie się twórczości duchowej i na pomnożenie odziedziczonego w tej dziedzinie dorobku.

Po upadku klas mieszczańskich, włóściaństwo obok klasy robotniczej jest tą świeżą formacją społeczną.

Wieś, szczególnie zaś wieś polska przedstawia niewątpliwie niewyczerpane źródło sił twórczych. Jeżeli siły te nie ujawniły się dotychczas w formie dynamicznej tylko pozostawały jak gdyby uśpione lub odpływały zasilając inne grupy społeczne, jeżeli poza słabymi ideologicznie i organizacyjnie ruchami agrarnymi, wieś jako całość nie wywarła znaczącego wpływu na życie społeczeństw — przyczyn tego stanu rzeczy należy dopatrywać się w społeczno-gospodarczej strukturze wsi nie sprzyjającej wyzwolaniu się sił twórczych.

Dla kogoś, kto na społeczeństwo ludzkie patrzy nie jak na chaos

bezludnych sił, świadomość marnotrawstwa sił i wartości jest najbardziej przerażająca. Tymczasem marnotrawstwo talentów, inicjatywy i możliwości wsi jest zjawiskiem powszechnym, przybierającym rozmiary klęski społecznej.

Nie jest to tylko sprawa niewspółmiernie wysokiej liczby ludzi zatrudnionych nieproduktywnie w rolnictwie. Gdyby problem ograniczał się do tego zagadnienia, znalazłby on rozwiązanie dzięki postępowi technicznemu i stopniowemu rozładowaniu demograficznemu wsi.

Niestety, jednak główne źródła bierności twórczej człowieka wiejskiego tkwią w nim samym, ściślej w pewnych jego cechach, które narzucone przez warunki egzystencji wiejskiej ostatnich kilkudziesięciu lat, zrosły się organicznie z naturą chłopską.

Instynkt posiadania i fanatyczne przywiązanie do posiadania ziemi są dla wielu tych ludzi głównym motywami działania. One to zacieśniają horyzont chłopca, eliminują inne ambicje, często wręcz wyrwywają ludzi ze społeczeństwa, pogrążają ich w egoizmie i izolacji. W wielu wypadkach można bez przesady powiedzieć, że chęć posiadania i przywiązanie do ziemi, jest rodzajem nowej pańszczyzny, która choć dobrowolnie mimo to jednak brutalnie wiąże chłopca z ziemią.

Oczywiście ten ponury obraz motywów działania ludzi wiejskich jest jednostronny, jest spojrzeniem od najgorszej strony na ten skomplikowany zespół zjawisk. Aby być sprawiedliwym trzeba dodać, że obok tej wsi egoistycznej i chciwej już od daw

na rozwija się i dojrzewa wieś inna, obdarzona instynktem społecznym, wieś pełna inicjatywy i dynamiki. Niezawodnie jednak struktura gospodarstwa wsi w szczególności indywidualne rozdrobnione władanie ziemią jest elementem hamującym i opóźniającym wkrócenie wsi na drogę pełnego wyzwolenia sił twórczych.

\*\*

Dla wielu ludzi takich nawet, którzy bez zastrzeżeń godzą się na pełną socjalizację przemysłu, socjalizacja rolnictwa stanowi przedmiot krytyki, przy czym krytyka ta podejmowana jest najczęściej w imię obrony indywidualizmu i pełnego rozwoju osobowości ludzkiej. Przy tej okazji podnoszony jest zazwyczaj argument, że dla pełnego rozwoju jednostki niezbędne jest zapewnienie możliwości posiadania niezależności gospodarczej, choćby w niewielkim zakresie, ale dostępnej dla szerokiego ogółu.

Czy jednak naprawdę dotychczasowa struktura wsi gwarantuje wolność jednostki — wolność w istotnym znaczeniu tego słowa?

Nikt, kto zna wieś polską nie może mieć co do tego złudzeń. Uporczywa i samotna walka z przyrodą i trudnościami gospodarczymi jest niemal wyłączną treścią życia wiejskiego; nie ma tam miejsca na jakiegokolwiek wzbogacanie się indywidualności ludzkiej na jej rozwijanie i kształcenie. Wszelako nie twardość tej walki jest przerażająca, ale jej cel i jej rezultaty. Cóż warta jest ta osławiona wolność, jeżeli jedynym rezultatem życia wypełnionego pracą ponad siły jest powiększenie gospodarstwa o morgę gruntu.

Upór i teźyzna z jaką chłop prowadził i prowadzi dotąd swoją samotną walkę są godne najwyższego szacunku. Równocześnie jednak sprawą niezmiernie wagi jest stworzenie warunków, w których te wspaniałe cechy chłopca mogłyby znaleźć ujście w formie naprawdę produktywnej i twórczej. Wtedy dopiero, gdy znajdzie szerokie pole dla swojej inicjatywy i zdolności, gdy wyprostuje zgięte nad pługiem plecy i rozejrzy się śmiało po szerokim widnokręgu, gdy poczuje, że na jego zdolności czekają najpoważniejsze zadania i tylko od tkwiących w nim wartości i siły zależy, by po nie sięgnąć — wtedy dopiero chłop poczuje się naprawdę wolny.

Nie ma tu miejsca na gruntowne zastanawianie się nad treścią i istotą wolności oraz różnym jej pojmowaniem. Nie ma też chyba potrzeby. Każdy bowiem nowoczesny człowiek czuje dziś wyraźnie, że nie ma wolności w odosobnieniu i izolacji.

Nie ma potrzeby bagatelizować zdobyczy XIX wieku w dziedzinie wolności jednostki, aby dostrzec wyraźnie jakie zadania stawia przed społeczeństwami przyszłość. Wolność pojedynczego człowieka interesuje nas dziś równie silnie jak dawniej. Jednakże nie wolno zapominać, że przyznawanie wolności nie może się ograniczać klasowo (kapitalizm). Społeczny aspekt patrzenia na pojęcie wolności skłania nas więc dziś do tego, żeby silnie akcentować, że wolność nie może być w żadnym wypadku faktycznym przywilejem jednostek czy grup. Stąd też suma wolności wszystkich uczestników życia zbiorowe-

go jest dla nas dziś problemem postępu społecznego.

Istnieje przeto głęboka różnica między należącym już dziś do historii ideałem indywidualistycznej wolności, a między personalizmem przejętym troską o wolność wszystkich ludzi i przesiąkniętym przez konaniem o najwyższej godności osoby ludzkiej. Doświadczenia historii lat ostatnich wskazują wyraźnie na niebezpieczeństwa związane z liberalistycznym indywidualizmem. Fetysz wolności, aż nazbyt często bywał narzędziem służącym ograniczeniu wolności, stawał się wręcz narzędziem ucisku.

Dlatego też personalizm w swojej istocie musi być nawskroś prześiąknięty duchem społecznym. I to zbliża go do skrajnie nawet lewicowych ruchów społecznych.

Godność osoby ludzkiej. Cóż może ją najskuteczniej zagwarantować? Na pewno nie można jej mierzyć rachunkiem bankowym czy ilością posiadanych hektarów. Na miejsce takiej oceny wartości jednostki, która wbrew pięknym frazesom, była powszechnie obowiązująca w społeczeństwach kapitalistycznych, zjawia się inne kryterium — twórczość, i to nie twórczość przeliczona na pieniądze, ale ta twórczość, stanowiąca istotny i bezinteresowny wkład w ogólny dorobek zbiorowości. Ta twórczość, która podnosi jednostkę i pozwala jej doskonalić się i wzbogacać moralnie, a która równocześnie łączy człowieka ze zbiorowością najcenniejszymi więzami twórczej wspólnoty.

\*\*

Rozważania powyższe prowadzą do wniosku, że najbardziej zasadniczym problemem przyszłości wsi jest zadanie maksymalnego pobudzenia i ożywienia twórczych, uśpionych dotąd sił, wydobycia i aktywizacji wszechstronnej działalności ludzkiej.

Trzeba z kolei zastanowić się nad pytaniem czy zainicjowana przed rokiem i realizowana już w praktyce akcja socjalizacji wsi może spełnić te zadania?

Jest jeszcze przedwczesne aby na podstawie konkretnych faktów i utrwalonych już doświadczeń wyrobić sobie pełny pogląd na rezultaty tej akcji.

W każdym razie jest rzeczą pewną, że powodzenie socjalizacji i nie tylko ilościowe, ale przede wszystkim jakościowe, uzależnione jest zarówno od czynników kierujących akcją, jak i od zainteresowanych przystępujących do niej, od tych, którzy własnymi rękami

(Dokończenie na str. 5)

## JÓZEF STALIN

21 kwietnia 1945 roku przemawiając w związku z podpisaniem układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej między ZSRR, a Polską. Stalin powiedział:

„Stosunki między naszymi krajami obfitowały, jak wiadomo w ciągu ostatnich stuleci w elementy obcości, niechęci i nierzadko otwartych konfliktów zbrojnych. Stosunki takie osłabiały obydwaj nasze kraje i wzmacniały imperializm niemiecki.

Znaczenie niniejszego układu polega na tym, że kładzie on kres i wbija ostatni gwóźdź do trumny tych dawnych stosunków między naszymi krajami, oraz stwarza realną podstawę do zamiany poprzednich nieprzyjaznych stosunków na stosunek sojuszu i przyjaźni między Związkiem Radzieckim, a Polską“.

Od tej daty wkroczyliśmy na drogę sojuszu polsko-radzieckiego. Przywódca ZSRR Józef Stalin obchodzi 21 grudnia siedemdziesięciolecie swych urodzin. Stalin nie zalicza się do tych przywódców politycznych, którzy potęgę swą odziedziczyli po poprzednikach. Cała potęga Związku Radzieckiego jest bezpośrednim dziełem Józefa Stalina. To on wspólnie z Leninem prowadził Rosję przez najtrudniejszy okres rewolucji, wojny domowej i lata porewolucyjne.

Potem zaś dosłownie wszystko, aż do zwycięstwa w drugiej wojnie światowej i dzisiejszej pozycji Związku Radzieckiego działo się pod jego najbardziej bezpośrednim kierownictwem. Z naszego punktu widzenia podkreślić należy przede wszystkim następujące momenty: Stalin jest twórcą tej potęgi Związku Radzieckiego, która pokonała Hitlera, a tym samym wyzwoliła Polskę spod okupacji, która była ciągłą groźbą dla egzystencji narodowej Polaków.

Po drugie, Stalin jest kierownikiem powojennej polityki Związku Radzieckiego, tej polityki, której zawdzięczamy utrwalenie granic na Odrze i Nysie i codziennie rosnący potencjał gospodarczy i kulturalny kraju.

A przede wszystkim Stalin jest przywódcą obozu pokoju, a za pokojem nie za wojną opowiadają się masy polskie i innych krajów świata.



Eugeniusz Paukšta

Ziemia za warszawską miedzą (VII)

# TROSKI DNIA POWSZEDNIEGO

Małenka, miłutka blondyneczka, Stefcia Matecka, siedząc w piasku przydrożnym opodal swego domu, baraszkuje z kudłatym kundlem niewyraźnej maści. Pies ma dość wreszcie tej zabawy, kosztem której bolą go już solidnie z wielkiego uczucia Stefci wytarzone uszy. Zrywa się i ucieka. Mała pędzi w ślad za nim. Dziewczynka cztero-, może pięcioletnia biegnie jednak z wyraźnym trudem. Cieniutkie, w formalny kabłąk wygięte nóżki nie pozwalają jej na to. W pewnym momencie przewraca się i uderza w bok rozpaczliwy.

Ciaiko Stefci, to typowy obraz dziecka z silnie rozwiniętą krzywicą. Urodzona na krótko po wyzwoleniu ziemi mazurskiej, nie zaznała nawet minimum tej opieki, jaka normalnie się dziecku należy. Rok 1945 był dla ludności rodzimej wyjątkowo ciężki. Wspominałem już o przyczynach w poprzednich artykułach. Matka pozostała sama, w dodatku też chorowała. Ojciec przebywał jeszcze naówczas w pomocniczych niemieckich formacjach wojskowych, do których zwerbowano go siłą. Wrócił do swoich prawie w dwa lata po narodzeniu małej. Matka pozostawała bez środków do życia. Nie było pewnego dachu nad głową, nie było jedzenia do syta. Odbiło się to na Stefci.

Dziś Mateckim powodzi się nieźle. Nie na tyle jednak, by stać ich było na racjonalne leczenie małej. Może też zresztą przyjmują jej kalectwo jako dopust Boży, któremu nie chcą się przeciwstawić. Oboje starzy także zresztą są chorzy. Oni po poniewierce wojennej, ma silnie zaawansowaną gruźlicę, a i choroba weneryczna z tych samych czasów też wycisnęła na nim swe piętno. Wrócił już z Niemiec poniekąd jako ruina człowieka. Matka ma rupturę i oczy osłabione przez niedawno dopiero wyleczoną jaglicę. W sumie, cała rodzina schorowana, kwękająca. Najbardziej nieszczęśliwe jest dziecko. Raz czy dwa, zabrane było przez lekarskie ekipy objazdowe, przetykało nawet takie czy inne lekarstwa, ale na tym się i skończyło. Gdzie tam rodzicom było do tego, by słuchać lekarskich wskazówek, odwozić małą do powiatowego szpitala, przestrzegać specjalnego jedzenia. Stefcia rośnie, krzywica postępuje w rozwoju swym równoległe.

Mała Małenka nie jest wypadkiem odosobnionym. Dzieci słabych, chorowitych, wycieńczonych jaglicą, chorobą angielską i gruźlicą — jest na Mazurach, szczególnie wśród ludności autochtonicznej, bardzo wiele. To smutna pozostałość okresu niemieckich działań wojennych.

Fatalnie w tych latach przedstawiała się również zdrowotność starszego pokolenia Mazurów. Około 60 proc. chorych było wenerycznie. Notowało się na tych terenach formalną epidemię kiły. Równie epidemiczny charakter miała jaglica, nieco mniejszy stopień natężenia gruźlica.

Problem ten jest dzisiaj w zasadniczej mierze zlikwidowany. O epidemii nie ma już mowy. I tutaj trzeba stwierdzić, że o ile pod każdym nieomal innym względem województwo olsztyńskie i północne trzy powiaty białostockiego (Elk, Gołdap, Olecko) traktowane były bardzo po macoszemu, o tyle na odcinku zdrowotnym wysiłek tu włożony był olbrzymi, a praca cała przeprowadzona z uporem, choć nie zawsze całkiem konsekwentnie. Zjawiskiem szkodliwym była np. wielo-

torowość akcji, prowadzonej jednocześnie misji leczniczo-charytatywnej. Doprowadzało to w początkowym etapie do przypadkowego fortyfikowania pewnych rejonów, a zapoznawania innych. Z czasem nastąpiła dosyć ścisła koordynacja działań.

Warunki pracy były wyjątkowo trudne. Z opowiadań lekarzy i personelu pomocniczego wiem cokolwiek o skomplikowanych nawet operacjach, dokonywanych w najbardziej prymitywnych warunkach, o pracy przy szczeniach po 20 godzin na dobę, o omdlewaniu lekarzy wskutek przeciążenia pracą O ofiarności i poświęceniu naszych kolumn sanitarnych, słyszało się na ogół mało. Obawiam się, że wyrządono tym wielką krzywdę cichym, ale ofiarnym na skalę niemal bohaterską pracownikom służby zdrowia. Byłaby to lektura niezmiernie pouczająca, stanowiąc jednocześnie zdecydowaną odpowiedź na wiele zarzutów, które nieraz wysuwane są przeciw personelowi lekarskiemu i sanitarnemu.

W pierwszym etapie postarano się o zlokalizowanie ognisk najbardziej niebezpiecznych, w drugim — o całkowite zlikwidowanie, przynajmniej chorób wenerycznych i jaglicy. Dzieci otrzymały szczepienia przeciwgruźlicze, część ich skierowano do prewentiów.

Mazury już od dwu lat przestały być siedliskiem chorób w skali masowej. Niemniej, stan zdrowotny ludności tam zamieszkałej, nadal nie przedstawia się dobrze. Szpitale są przepełnione chorymi o najbardziej różnorodnych, ciężkich przypadkach. Przychodnie pracują nad siłę. Lekarze i personel pomocniczy znów co dnia w pełni zdają swój egzamin. Ilość środków leczniczych odpowiada zapotrzebowaniu. Bolączka zasadnicza kryje się gdzie indziej. Mianowicie w małej liczbie lekarzy i obsługi sanitarnej o pełnych kwalifikacjach. Jak przepłacowani są tam lekarze, nie znając zagadnienia bliżej, nie sposób mieć nawet pojęcie. Różnorodność funkcji, olbrzymia odpowiedzialność, praca do 18 godzin na dobę — to są normalne warunki pracy lekarzy. Ogniska chorobowe mogły zostać zlikwidowane. Ale w pełni stanu zdrowotnego ludności nigdy nie uda się podciągnąć do właściwego poziomu, o ile nie zostanie przynajmniej podwójnie zwiększona liczba praktykujących tam lekarzy. To jest warunek sine qua non, który musi zostać, i to bezwzględnie, wypełniony. I jeśli by ktoś zrywał się na ustawę o przymusowym rozmieszczeniu lekarzy w kraju, tego trzeba by posłać na Mazury, by zorientował się tam w sytuacji. Wtedy na pewno nie zdobędzie się już na protest. Bez względu, że personalnie temu czy owemu z lekarzy perspektywa przeniesienia się gdzieś z miasta nie bardzo się będzie uśmiechać, ale taki punkt widzenia nie może mieć wpływu na sprawę, przynajmniej do czasu, gdy kadry lekarskie w Polsce osiągną pożądany poziom. Dla ziemi mazurskiej wspomniana wyżej ustawa jest prawdziwym błogosławieństwem. Wydaje mi się tu godne podkreślenia jeszcze jedno. Ze poza normalnym wskaźnikiem, według którego obliczane jest nasilenie lekarzy w terenie na okres najbliższy, dla Mazur musi się zezwolić na specjalne uuprzywilejowanie. Tam ponad wyznaczoną normę musi być skierowanych wielu jeszcze lekarzy dodatkowo. Szczególny stan zdrowotny terenu stanowczo tego wymaga.

Szwankuje po dziś dzień na ziemi mazurskiej sprawa odpowiedniego wyposażenia służby zdrowia w ruchome ambulanse lekarskie. Akcja objazdowych ekip lekarskich musi zostać wzmożona, a przy tym nabrać charakteru ciągłego, nie zaś jedynie dorywczego, jak to wielokrotnie obecnie ma miejsce. Oddalone od jakichś szlaków komunikacyjnych i od większych skupisk ludności okolice domagają się regularnych wizyt lekarskich. Zadanie to powinno być uwzględnione w jak najszybszym terminie.

Z zagadnieniem zdrowotności łączy się na Mazurach bardzo ściśle zagadnienie higieny. Obraz sytuacji na tym odcinku, szczególnie na wsi, przedstawia się niezachęcająco...

Gospodarstwo zamożnego rolnika, repatrianta z tarnopolskiego. Na podwórzu, o dwa metry od wejścia, przez cały rok bez mała piętrzy się potężna kupa gnoju. Latem cuchnie to, rozlewa się wokoło, stwarzając w stąd powstałych kałużach idealne rojowisko dla much i wszelkiego robactwa. Zimą grzeje się i paruje, zaturwając powietrze cuchnącymi wyziewami. Gospodarz zapytany, dlaczego tak robi, czy nie zdaje sobie sprawy, z horendalności podobnego postępowania, wrusza obojętnie ramionami:

— Tyle lat wyżyło się przy tym, i nikomu to jeszcze nie zaszkodziło. A wygodą jest. Nie trzeba gnoju wynosić z chlewa daleko, wystarczy mocno machnąć przez wrota — (obora położona jest idealnie naprzeciw domu mieszkalnego).

Żadne tłumaczenia tu nie pomogą. Skoro dotąd nie zaszkodziło, nie zaszkodzi i nadal... Z takim tłumaczeniem nie ma jak walczyć. Uświadamianie musi być tutaj rozłożone na długie etapy. Doraźnie można zapobiegać czemuś podobnemu chyba tylko groźbą kar administracyjnych. Jeśli nie rozsądek, niech strach przeważa...

W mieszkaniach, szczególnie w kuchniach, napotyka się często niesamowite brudy. Wszelkie śmieci, obrzynki, trawa i nie trawa, tygodniami całym nie zmiatane, gnije kupami opodal pieca, w którym gotuje się jedzenie. W jednej dzięży zakisza się ciasto na chleb i kąpie małe dzieci. Pies czy kot zajadają nieraz ze wspólnego talerza z ludźmi. Pościel, nigdy nie wietrzona, przesieknięta jest odorem potu, ściany zadymione. Pluskwy są częstym gościem, nieraz także i wszy.

Trzeba tu oddać prawdzie to, co się należy. Opisane powyżej przypadki całkowitego braku higieny, na prawdę tylko wyjątkowo spotka się w domach mazurskich. Przeważnie panuje tam daleko idąca schludność i czystość. Zamiłowanie do estetyki dnia codziennego przejawia się w staraniu o ubiór, w czystości przyrządzenia potraw, w idealnej białości wciąż szorowanych desek podłogi.

Higieny nie ma natomiast w dużej części domów repatrianckich i osadników z terenów Polski Centralnej. Trafiają się oczywiście przyjemne wyjątki, ale powszechnie jest brudno i niechlujnie. I na to nie ma tłumaczenia. Bo brudu jednak, mimo wszystko, nie tłumaczy trudne warunki życia, brak czasu, przepracowanie itp. Brud i niechlujstwo pozostają zawsze brudem i niechlujstwem.

Nauczyciele skarżą się często, że dzieci przychodzą do szkoły nieumyte, nieczyszczone nieraz przez całe tygodnie. Walka z tym jest utrudnio-

na, gdyż szkoła nie ma poparcia rodziców w swej inicjatywie. Wychowywanie w tym kierunku młodego pokolenia ma małe widoki, gdyż dom wypacza wszelkie wskazania nauczycieli.

W podobnych warunkach łatwo jest o choroby. Problem zdrowotności całkowicie nie zostanie zorganizowany do czasu podniesienia stanu higienicznego wsi mazurskich. Kierunek uświadamiania w tej dziedzinie, powtarzam raz jeszcze, musi być dwutorowy. Przez systematyczne uświadamianie, obliczone na długie dystansy, i przyspieszanie wyników przez stworzenie groźby administracyjnej kary. W pewnej mierze nawet i sprawa „sławojek“ też jest aktualna, tu i ówdzie ich bowiem brakuje.

Trzecie zagadnienie, łączne z poprzednimi, to zwiększenie sieci placówek weterynaryjnych. Dzwij mi, że to zagadnienie jest na ogół wszędzie dyskretnie przemilczywane, gdy właśnie na odcinku tym powojenne nasze osiągnięcia są bardzo duże: przynoszą nam zaszczyt. Jakość zdrowotna naszego bydła i trzody wzrosła poważnie, co wpływa na wyjątkowo szybkie zwiększenie się liczby pogłowia. Bez wydatnej pracy placówek weterynaryjnych sukcesy nasze na polu hodowlanym byłoby niepomierne niższe.

Plan państwowy w tej dziedzinie przewiduje obsadzenie etatowym weterynarzem każdej gminy. Oczywiście, to jeszcze pieśń przyszłości zresztą może i niedalekiej. Dzisiaj nie wszystkie nawet powiaty są obsadzone. Dopiero absolwenci uczelni weterynaryjnych, z każdym rokiem zasilając teren, rozwiązują niezmiernie istotny ten problem.

Z tymi rzeczami trudno jest walczyć. Ludność naszej wsi nie jest jeszcze dosyć przyzwyczajona do korzystania z pomocy weterynaryjnej. Przedtem próbuje wszelkich domowych środków, a gdy te nie pomogą, wtedy, i to też rzadko, decyduje się wzywać pomocy fachowca do chorego konia czy krowy. Wszelkie przeglądy, szczepienia, badania stanu zdrowotnego bydła czy chlewni przyjmowane są niechętnie, pod przymusem.

Wreszcie czwarty problem. Znachorstwo. Nie są wolni od tego ani repatrianci zabużańscy, ani osiedleńcy z Polski Centralnej, ani ludność rodzima. Na Mazurach zresztą

znachorstwo ma sprzyjające warunki rozwoju. Oddalenie od wszelkich żywszych centrów kulturalnych, element ludzki dość prymitywny, wzbogacona i rozwinięta wojna wiara w skuteczność zamawiań i lecień „domowymi“ sposobami, przyczynia się do rozwoju tej plagi.

W jakiej wiosce człowiek się nie pokaże, dowiedzieć się może, że jakaś tam Andrzejowa czy inna znów Adolfka leczy tak dobrze i skutecznie, że „żadne doctory nie daliby rady mu sprostać“. Jakby mogło być inaczej, gdy ciągle żywe są baśnie o złych urokach rzucanych na ludzi przez osoby im wrogie, gdy z „kłobukiem“ mazurskim za pan brat żyją białoruskie „latawice“, a dojność krowom odjąć może czyjeś złe spojrzenie. W takich wypadkach jeno znachor poradzi. A jeśli w takich, to tym bardziej w zwykłych chorobach. Doktorskie leki nie będą nigdy tak skuteczne, jak rozsypane wokół łoża chorego rozżarzone węgielki, jak okadzenie specjalnymi ziołami zbieranymi przy pełni o północy czy napojenie zgorączkowanego ust wywarem mieszaniny szałwi z macierzanką, wilczym łykiem i stu jeszcze innymi ziołami.

Te rzeczy są jeszcze żywe na Mazurach. W niejednej chacie dowiedzieć się można rzeczy niesłychanych, znanych dotąd z ksiązek i bajek. Rzeczy nieraz przerażających w swej tępcie, naiwności i szkodliwości. Zanikają one, powoli. Walczy z nimi medycyna i placówki społeczno - oświatowe. Mimo to, poza nimi kryje się jeszcze wiele spraw, właściwych dawno ubiegłemu stuleciu. O tym przeważnie się nie wie. Wiele trzyma swoje ciemne sprawy w ukryciu. Nawet przed sobą, bo przecież i tam już większość w podobne bajki nie wierzy, rozumie ich szkodliwość i przeciwstawia się energicznie...

Złożone są sprawy ziemi mazurskiej. Za warszawską miedzą kryje się wiele spraw, wywołotem nie z naszej epoki. Stamtąd częstokroć nie widać nawet rogatki kultury.

Te wszystkie problemy, które staram się przynajmniej zarysować w artykułach „mazurskich“, wylaniają jeden zasadniczy, główny wniosek. Ale o nim w następnym, ostatnim już reportażu.

Eugeniusz Paukšta

## ŻŁOBEK OZDOBĄ DOMU!

Polecamy artystycznie wykonane żłóbki wraz ze stajenką  
Komplet nr 1 — 22 figur 13 cm . . . . . 3.560.— zł  
„ nr 2 — 24 „ 22 cm . . . . . 7.280.— „  
„ nr 3 — 26 „ 55 cm . . . . . 35.000.— „

„ARS CATHOLICA“  
Katowice, ul.3-go Maja 30

Żłóbki nasze są także do nabycia w Księgarniach Św. Jacka  
w Bytomiu, Gliwicach, Chorzowie, Zabrze,  
Opolu, Świętochłowicach i Cieszynie



Stanisław Kulbuszewski

# PUSZKIN A ROMANTYZM

Sformułowanie zagadnienia: jaki był stosunek Puszkina do romantyzmu wydać się może dziwne, gdy daty zamykające życie poety skonfrontujemy z niektórymi datami historii literatury. Taka bowiem konfrontacja utrwała wrażenie, że Puszkina należał do generacji romantyków, skoro urodził się w pół roku po Mickiewiczu, co jednocześnie znaczy, że było to w pół roku po stworzeniu pierwszej definicji romantyzmu przez Fryderyka Schlegla. Data zaś jego śmierci, rok 1837 przypada na te czasy, w których romantyzm europejski, po zdobyciu szczytów, wchodził w ostateczny etap rozwoju w tych krajach, które go nie stworzyły, ale przejęły. Innymi słowy, w Anglii i w Niemczech okres tryumfu romantyzmu już minął, z wielkich romantyków niemieckich nie żył żaden, a tylko tradycje romantyczne kontynuowali poeci młodszy i młodszy — Kerner, Uhland, Mörike, Grillparzer; w Anglii nie żył ani Walter Scott, ani Byron, ani Shelley, ani Coleridge, ani Keats, a pokolenie ginących romantyków reprezentowali Wordsworth i Southey. — Natomiast we Francji i w literaturze polskiej sprawa wyglądała zgoła inaczej. Victor Hugo stał wtedy u szczytu swej romantycznej sławy — a było to niemal w przededniu „Ruy Blas”, wystawionego w r. 1838; Musset, który w r. 1836 wydał „Spowiedź dziecięcia wieku”, przez lat kilka — przed rokiem 1837 i po nim — ogłaszał na łamach „Revue des Deux Mondes” najbardziej chyba przedziwne w romantyzmie francuskim utwory, nazwane „Komediami i Przyszłościami”; Lamartine zaś wydał na rok przed śmiercią Puszkina t.j. w r. 1836 swój arcyromantyczny poemat „Jocelyn”.

W tymże czasie literatura polska zagraniczna — a było to w trzy lata po pojawieniu się „Pana Tadeusza” — przeżywała nowy okres romantycznej świetności. Słowacki po powrocie z podróży na Wschód układał „Anhellego” i „Ojca Zadumionych”; Krasiński wydał na rok przedtem „Irydion” a pani Bobrowej kazał właśnie wtedy modlić się z „Modlitewnika”, który dla niej ułożył; Załeski wygrał „Złotą Dumę” i przygotowywał „Ducha od stępu”, a Cieszkowski pisał swoją pierwszą wielką rozprawę o prolegomenach do historii filozofii, którą wydał w roku 1838.

Tak wyglądała sytuacja romantyzmu zachodniego w chwili śmierci Puszkina.

Do Rosji romantyzm wchodził powoli w latach mniej więcej tych samych, w jakich wchodził do Polski; ale warunki jego aklimatyzacji były tam inne niż warunki polskie. W chwili zaś, w której Puszkina kształcił, a nawet jeszcze i wówczas, gdy już podjął pracę literacką, w Rosji rozwijała się wciąż jeszcze atmosfera oświeceniowa. Żeby zrozumieć warunki ówczesnej kultury i jej charakter, trzeba uprzytomnić sobie fakt, że w połowie XVIII wieku, po kilku wiekach trwania i panowania rodzimego, rosyjskiego średniowiecza, naraz w ciągu okresu stosunkowo niewielkiego, niemal kilkunastoletniego, usiłowano zmienić radykalnie kulturę dawną, ową rodową, tryb życia, a nawet umysłowość i psychikę rosyjską. Za sprawą Piotra I podjęto wówczas faktyczną pracę od podstaw w celu wprowadzenia zdobyczy Zachodu w obręb imperium i zbudowania na podstawach kultury zachodniej gmachu cywilizacji rosyjskiej. Była to praca iście gigantyczna i domagała się energii niepospolitej. Słusznie zauważył Lenin, że car Piotr niszczył

stare barbarzyństwo barbarzyńskimi środkami. Usiłowano w rozmaite sposoby przekonać naród, że jedyną potęgą jest rozum, że jedynie przy pomocy wykształconego myślenia i przy pomocy doświadczenia można zdobyć prawdę, że we francuskim klasycyzmie sztuka i literatura znajdują wzór jedynie godny do naśladowania. Na uwagę bezsprzeczna zasługuje fakt, że kodeks klasycznej literatury, „L'art poétique” Boileau przetłumaczona na język rosyjski już w r. 1752 tzn. na lat trzydzieści kilka przed jej polską przeróbką przez Dmochowskiego w r. 1788, a w dwadzieścia lat po przyswojeniu go Niemcom przez Gottscheda w r. 1730.

Kulturę Oświecenia utrwalono w Rosji poprzez drugą połowę wieku XVIII i w ciągu pierwszej ćwierci wieku XIX — co prawda napotykając na opór lub bierność lub też doprowadzając do faktu paradii kultury oświeceniowej. W sumie szło jednak o to, ażeby życie rosyjskie wzbogacić o zastrępy intelektualistów, ażeby zderzyć z tego życia piętno archaicznego, średniowiecznego, ascetycznego lub domorosłego kultury, ażeby dorównać Europie we wszystkich dziedzinach życia. Tak odbywała wówczas Rosja swój krótki kurs kultury zachodniej.

Ale, gdy się kogoś przekonywa przez lata, że poznanie zdobyć można jedynie przy pomocy rozumu i doświadczenia, że autorytetem jedynym jest rozum, że istota piękna jest raz na zawsze określona przez rozum a droga do niego wskazana w regułach przez rozum stworzonych, to naraz nie można głosić czegoś wprost przeciwnego tzn. negować wartości intelektu, a domagać się przyjęcia autorytetu uczucia i wiary, guseł i zabobonów, fantazji i uczucia, wolności twórczej i poezji ludowej. Toteż, gdy romantyzm stanął któregoś dnia u wrót Rosji, nie znalazł tam takiego przyjęcia, jakie np. znalazł wśród polskich młodych pisarzy.

Przed wszystkim jednak trzeba pamiętać o tym, że romantyzm był ucieczką od przeintelektualizowania i od wyrafinowania kulturalnego, był poszukiwaniem prostoty, ale nie stonił też nieraz od prostactwa, był nawrotem do prymitywu ale też domagał się wyrafinowania. Otóż Rosji pierwszych dziesiątków lat w wieku XIX — wszystko to było niepotrzebne. Nie wiedziała bowiem o tym, co to jest przeintelektualizowanie, ani co to jest wyrafinowanie kultury, ani co to są nerwy łaknące coraz to nowych wrażeń, ani co to jest męka tęsknoty. Rosyjskiej młodej kulturze nowożytnej nie było potrzebne odwracanie się od kultury jako od źródła zła i nie była potrzebna ucieczka w rajską dziedzinę utędy i w obręb życia cywilizacją nieskażonego. Dlatego szła wciąż wprzód po torach wskazanych przez Oświecenie.

Ponieważ jednakże w drugiej połowie w. XVIII weszła ona w obręb życia kulturalnego całej Europy, musiały zainteresować się tymi problemami, które cała Europa przeżywała. Dlatego dla intelektualistów rosyjskich prąd romantyczny nie mógł być zjawiskiem obojętnym. Toteż poeci i pisarze poniektórzy zjawiskiem tym zajęli się i niektóre z jego elementów wzięli swoją twórczością do Rosji wprowadzać jak np. Żukowski, jak niebawem Delvig i Boratyński, Wiazemski i Odojewski.

Tak zatem, gdy romantyzm angielski zrodził się z rodzimych potrzeb kulturalnych i narodowych, gdy w Niemczech powstał z rodzinnych potrzeb metafizycznych, a we Francji

z rodzimych potrzeb natury społecznej, to w Rosji początku XIX wieku, żadna z tych potrzeb nie istniała w tym stopniu, ażeby mogła rozstrzygać o konieczności zmian orientacji kultury. Do Rosji romantyzm przyszedł jako pewnego rodzaju import, jako produkt mody literackiej i mody artystycznej, jako pewnego rodzaju objaw snobizmu niektórych pisarzy i niektórych przedstawicieli ziemiaństwa (Wiazemski, Odojewski, Delvig). Dlatego nie związał się on z podglebiem rosyjskim, nie przeniknął w głąb życia narodowego, ale osiadł jakby na nawierzchni tego życia.

O tym trzeba pamiętać, gdy chce się określić stosunek Puszkina do romantyzmu. Poeta wzrastał w okresie współistnienia dwóch tendencji kulturalnych — przeważającej i silniejszej — oświeceniowej i klasycyzującej — oraz drugiej, słabszej, dyskretnie przez garstkę ludzi wprowadzanej kultury romantycznej. Znajdował zaś języki obce, sam jął czytać utwory pisarzy romantyzmu zachodniego — Byrona, Shelleya, Victora Hugo, Mickiewicza, co — rzecz oczywista — przyczyniło się poważnie do wejścia poety w atmosferę romantyczną.

Jednakże romantyzm nie był tylko modą literacką i nie był tylko zjawiskiem wnoszącym pewne nowe cechy i wartości do literatury i sztuki. Romantyzm był to przede wszystkim pogląd na świat, który stworzył nowe treści i nowe formy życia, narzucił temu pewien specjalny styl. Dlatego w rozważaniu stosunku Puszkina do romantyzmu trzeba to wszystko wziąć pod uwagę.

Zalążkiem tragedii Puszkina stało się to, że wyrósł on poza rzeczywistość swojego czasu, że duch wolny został zamknięty w ciasnej i nieufnie bagietami najeżonej rzeczywistości systemu policyjno - ortodoksyjnego carskiej Rosji. Wskutek tego od pierwszej chwili musiał wybuchnąć konflikt między sumieniem a paragrafem, konflikt wizji poetyckiej z męczącą codziennością życia w niewoli, konflikt tęsknoty za pełnią życia z przerażającym jego ograniczeniem. — Był to taki sam konflikt, jaki od niedawna jeła uprzytomniać so-

bie poezja romantyczna, a najsilniej i najefektowniej poezja Byrona.

Wielkość geniuszu Puszkina borykała się i borykać miała przez całe życie z pospolitością głupoty i podłości ludzkiej, swoboda ducha z niewolą ustroju zbudowanego na despotyzmie i nieufności. Ale tragizm rzeczywistości, tragizm indywidualny Puszkina był większy od tragizmu pokazywanego przez poezję Byrona. Tęsknoty własnej za wolnością nie mógł Puszkina zaspokoić nawet w sferze poezji, skoro na myśl twórczą nakładała więzy carska cenzura, zwłaszcza odkąd car sam niby to po przyjacielsku a bezpiecznie podjął się obowiązków cenzora jego dzieł. Poezja narodzona pod jarzmem nie zawsze zatem mogła być poezją buntu, a jej rewolucjonizm mógł nieraz być jedynie rewolucjonizmem poetyckiej treści i formy. Protest człowieka wolnego przeciw despotyzmowi przybierał nieraz postać epigramatów satyrycznych, nieraz postać inwektyw przeciw carskim urzędnikom, nieraz postać artystycznej wizji bohatera zrywającego łańcuch niewoli, narzucony nań przez warunki polityczne, społeczne i kulturalne.

Wiersze polityczne spowodowały zysk poety na południe Rosji i tutaj to właśnie, zapewne któreś bezsennej nocy, gdy patrzył na roziskrzone gwiazdami szafirowe niebo i gdy z duszy utęsknionej za życia pełnią wydzierało się westchnienie zmęczone nudą codzienności, zesłała ku niemu z gwiezdnych przestworzy romantyczna Muza.

Osobiste warunki psychiczne i warunki życia były takie, że Puszkina doznał w sobie wielu z tych przeżyć i stanów, które w formie poetyckiej pokazywał swymi utworami Byron. Wiedział Puszkina co to jest zanik woli, znał doskonale bolesną tajemnicę głodu wrażeń coraz to nowych, coraz bardziej niezwykłych, coraz bardziej niesamowitych, przeżył w sobie stany tęsknoty za czymś, czego w żaden sposób nie można sobie uświadomić; wypełniało go gorące, bolesne, męczące pragnienie miłości, a nadaremno starał się je zaspokoić awanturami erotycznymi. Ale nade wszystko poznał boleść znudzenia,

spleen romantyczny. W miarę przeżywania tych stanów poeta próbował je obiektywizować, aby stworzyć z nich artystyczną wizję tzn. próbował wtłoczyć własne przeżycia w postaci literackie, pokazać je na barwnym tle południa. W takiej to chwili poznawszy utwory Byrona, uświadomił sobie charakter własnych przeżyć. Tak narodziła się wielka poezja Puszkina. Brał do niej tworzywo z siebie samego, ale stylizował je po byrońsku i zamykał w schemat kompozycyjny byroński, indywidualnie przetworzony.

Rozpatrując twórczość Puszkina z tego stanowiska, wysledzić można wcale ostro od siebie odcinające się trzy etapy, przez które przeszła myśl i sztuka literacka poety.

Najpierw zwraca w tym względzie uwagę „Jeniec Kaukaski” (1822). Puszkina obiektywizował tu własne doznania, ale jednocześnie stylizował portret psychiczny i poniekąd fizyczny bohatera wedle portretów bohaterów Byrona; pokazywał człowieka rozczerwanego życiem, który od cywilizowanego świata uciekł w świat dzikiej przyrody, tam jednak złamawszy życie kochającej go kobiety, postanowił wrócić w ten świat dawny, od którego odszedł. Poemat był wyrazem pierwszego krytycznego wejścia w siebie i romantycznego osądzenia siebie pod wpływem miłości dla Marii Rajewskiej, którą wielu biografów Puszkina uważa za jedyną kobietę, naprawdę przez niego kochaną. W każdym razie od tego czasu we wszystkich niemal utworach obok dobrej, czystej, wartościowej kobiety postawił poeta słabego lub zgoła marnego mężczyznę, życie jej niszczonego. Tak więc wydana w r. 1824 „Fontanna Bachczyseraju” pokazuje człowieka, który pod wpływem moralnie wysoko stojącej kobiety odrzucił dawny tryb życia oraz dawne upodobania, ale z jej utratą załamał się psychicznie i etycznie. Nie znała dotąd sztuka literacka rosyjska takiej analizy psychologicznej. Puszkina dał obraz przeobrażania się człowieka tzn. przedstawił to zjawisko, które interesowało wszystkich niemal romantyków, od Byrona i Waltera Scot-

(dalszy ciąg na str. 10-tej)

## PRZYSZŁOŚĆ WSI

(Dokończenie ze str. 1-ej)

tworzyć będą nowe socjalistyczne gospodarstwa rolne.

Ci ostatni stanowiąc będą żywą treść nowej rodzącej się formy gospodarowania, będą tworzyć nowy typ człowieka wiejskiego. Od ich poczucia społecznego, zdolności życia i pracy zespołowej zależy będzie nie tylko doraźny rezultat gospodarczy, ale również i przede wszystkim istotna wartość tkwiąca w społecznej formie gospodarowania — zdolność wyzwolania inicjatywy i sił twórczych. Od ich postawy i ich wkładu zależy będzie ich przyszła wolność.

Rzecz prosta nie można zapominać o trudnościach z jakimi związana jest tak gruntowna przebudowa struktury społeczno-gospodarczej wsi. Motywy działalności gospodarczej, o których była mowa wyżej, nie mogą być z dnia na dzień zastąpione przez zupełnie nowe i inne. Niezawodnie opory i niechęć do nowej formy gospodarowania pozostaną przez pe-

wien jeszcze czas rozpowszechnione i żywe.

Nowa forma gospodarowania wymaga przede wszystkim zrozumienia, i poszanowania dla wspólnego dobra i zapobiegliwości w je go pomnażaniu. Poczucie to istnieje na wsi jakkolwiek w układzie gospodarki indywidualnej nie miało możliwości w pełni ujawniać się i kształcić. Obecnie cecha ta staje się głównym probierzem wartości człowieka.

Nie jest bynajmniej paradoksem, twierdzenie, że prawdziwe wyzwolenie jednostki, zdobycie przez nią pełni wolności, jest możliwe tylko poprzez usilną pracę dla dobra zbiorowości. Prawda ta,

która z równą słusnością stosuje się do wielkich grup społecznych jak i do małych, w zastosowaniu do gromady wiejskiej traci abstrakcyjny, trudny do ogarnięcia sens. Staje się praktyczną, życiową wskazówką płynącą z naturalnych konieczności codziennego życia.

Kiedy hasło „przez twórczość do wolności” stanie się dewizą wszystkich uspołdzielczonych gospodarstw rolnych i wszystkich ich uczestników, wówczas niezawodnie przebudowa wsi wyzwoli ogromne siły twórcze i przyniesie dobroczynne skutki w kierunku podniesienia dobrobytu i uszczęśliwienia ludzi wiejskich.

## Czytanie

### „Słowo Powszechne“



# etaj wkladka miesięczna

Karol Zajczniewski

## STRACH PRZED GŁODEM

„Jeżeli skutek głodu i nędzy nie masz nic w żołądku to ani w głowie, ani w zmysłach, ani w sercu nie znajdziesz materiału do moralności”. (Ludwik Feuerbach — „O istocie chrześcijaństwa”).

„Miły Boże — rozmyśla bohater „Głodu” Hamsuna,<sup>1)</sup> włączając się wynędzniały i bezdomny od tygodni ulicami Chrystianii. — Dlaczegoż u licha nie czyni się koło mnie jaśniej? Wszakże mam takie samo prawo do życia jak antykwariusz Pascha i ekspedytor okrętowy Hennechen. Wszakże mam barki jak olbrzym i parę silnych rąk do pracy, tak, że nawet starałem się o rąbanie drzewa w Mollerstraede by zarobić na życie...”

Bohater Hamsuna snuje powyższe refleksje bez cienia zawzięcia, jest bowiem człowiekiem z gruntu dobrym. Jest może nieco lekkomyślny i obdarzony zbyt wybujałym poczuciem godności osobistej, ale poza tym oznacza się iście skandynawską uczciwością oraz szlachetnymi odruchami, którym daje wyraz na każdym kroku. Tak więc uzyskawszy z zastawu za kamizelkę półtorej korony daie z tego bez wahania koronę kula-wemu żebrakowi. Gdy mu doskwiera głód przeżywa istną rozterkę na myśl, że mógłby przecież zastawić zieloną kołdrę, pożyczoną mu przez studenta Hansa Pauli; za kołdrę tę mógłby zjeść trzykrotnie obiad i utrzymać się czas jakiś na powierzchni zanim znajdzie pracę. Przewycięża jednak pokusę tuż pod samymi drzwiami lichwiarza.

„Oddalając się — opowiada — za każdym krokiem czułem większą radość z powodu przewyciężenia pokusy: dumnym się czułem ze swej uczciwości, z tego iż mam charakter, że jestem niby biała latarnia na mętym morzu ludzkości, po którym pływa tyle rozbitych łodzi”.

Od tego czasu mija znowu parę tygodni. Bohater powieści śpi w lasku podmiejskim, na ławie w porcie, w komisariacie policji. Gdy rozwiewają się ostatnie nadzieje zdobycia pracy, gdy uświadamia sobie co-

raz wyraźniej straszliwą prawdę, że w tłumie ludzi wielkiego miasta można umrzeć z głodu równie łatwo jak na pustyni, ogarnia go depresja i rozpacz.

„W Stortorwie usiadłem na ławie pod kościołem. Ach, jakże czarno było wokół mnie. Nie płakałem, byłem zbyt słaby. Cierpiąc ogromne męki siedziałem bezradny, nieruchomy i głodowałem. Musiałem dostać chyba zapalenia płuc, bo w piersiach paliło mnie straszliwie. Nie pomagało już zucie wiórow, a męczyło jeno szczęki. Zaprzestałem już walki i poddałem się. Poza tym gniołta mnie w żołądku lupina pomarańczy, znaleziona na ulicy i połknięta chciwie. Byłem chory. Żyły na pulsach, w przegubach rąk, narzmiwały sino”.

To przewlekłe konanie głodowe doprowadza do zasadniczych zmian w światopoglądzie bohatera. Powieść Hamsuna przedstawia nam wnikliwie naprzód kolejne stadia procesu załamania się pojęć moralnych u bohatera.

„A przy tej całej niedoli — snuje gorzkie refleksje — byłem uczynny i pozostałem uczciwy... he... he... uczciwy do głupoty po prostu... Niech by się coś zdarzyło dziś! Gdybym znalazł na ulicy skarbonkę z oszczędnościami uczennicy lub ostatniego oera biednej wdowy, przywłaszczyłbym sobie te pieniądze, skradłbym je bez wahania i spałbym potem przez całą noc kamieniem. Nie nadarmo tyłem się nacierpiał”.

Jest rzeczą godną podziwu jak dalece literacka wizja Hamsuna zgodna jest przy tym z wynikami naukowych badań zjawiska głodu. Badania takie przeprowadzał socjolog Pitirin Sorokin, stwierdzając u ludzi, których pożywienie znajduje się poniżej fizjologicznego minimum, daleko idące przemiany fizyczne i psychiczne.

Zmiany psychiczne, zachodzące pod wpływem głodu, nie ograniczają się jednak tylko do załamania się pojęć moralnych, ale podważają i rozsadzają cały światopogląd, sięgając jego założeń ontologicznych i metafizycznych. Wstrząsający obraz buntu przeciw Bogu znajdujemy znowu w „Głodzie”. Oto bohaterowi powieści udało się wyżebrać u rzeźnika kość z niewielkim ochłapem mięsa.

„Zacząłem ogryzać kość.

Nie miała żadnego smaku, jeno odór skrzepłej krwi, tak że od razu dostał wymiotów. Zacząłem na nowo, marząc o tym, by zatrzymać jadło w żołądku celem uspokojenia go. Znowu przyszły wymioty. Rozgniewany, szarpnąłem kawałek mięsa

i połknąłem go przemocą. Na nic! Ledwie się zagrzał, wracał na wierzch. Zaciskałem szaleniczo pięści, bliski płaczu rozpacz i szarpałem dalej. Łzy oblały wreszcie kość i zbrudziły ją, wymiotowałem, kłąłem, gryzłem, czułem że mi serce pęka i wymiotowałem ponownie.

Gdy wyczerpałem ostatek sił cisnąłem kość o drzwi z bezzia nienawiści, zacząłem krzyczeć w niebo, wzywać imienia boskiego ze złością, chrypliwie, a palce me kurczyły się jak szpony... Powiadają Ci, święty Baalu niebiosów, nie ma Cię wcale! A gdybyś nawet istniał, przekleństwo moje straciłoby Cię w bezden piekła. Chciałem Tobie służyć, a Tyś mnie odepchnął, wzgardził mną, toż odwracam się od Ciebie plecami raz na zawsze, albowiem nie znasz go-dziny łaski...”

Wojciech Bruno

Przystępując do działalności społecznej i chcąc zapewnić sobie jej powodzenie musimy w pierwszym rzędzie dokonać analizy konkretnej rzeczywistości, w której zamierzamy realizować swoje postulaty. Z oceny jej elementów, zdolności przewidywania tendencji rozwojowych i wytypowania sił, które są wyrazem tych tendencji, zrodzić się może dopiero program społeczny, odpowiadający aktualnym potrzebom przewidywanego okresu historycznego. Bez tego wstępnego zadania nawet najbardziej szlachetne intencje przebudowy ustroju i naprawy stosunków społecznych mogą nie osiągnąć spodziewanych efektów. Nie chodzi bowiem o hołdowanie takim czy innym ideałom, ale o ich realizację — o przebycie trudnej drogi dzielącej rzeczywistość od postulowanego ideału.

Charakterystycznym przejawem rzeczywistości społecznej ukształtowanej w klimacie liberalizmu ekonomicznego są zaostrzające się antagonizmy klasowe, prowadzące w rezultacie do gwałtownych, nieraz krwawych, konfliktów. Są one naturalnym skutkiem procesów gospodarczych, powodujących nadmierne kontrasty w rozdziale dochodu społecznego. W epoce niczym nie krepowanej „wolnej gry sił” kontrasty te doszły do niepokojących rozmiarów. Nie więc dziwnego, że ukształtowały w specyficzny sposób teren społeczny, który stał się areną walki między nadmiernym bogactwem, a nadmierną nędzą, między wyzyskującymi a wyzyskiwanymi. Pozbawiona wszelkich skrupułów pogoń za zyskiem ze strony bogaczącej się burżuazji spowodować musiała reakcję elementów ekonomicznie słabszych spychanych bezwzględnie na dno niedostatku. Tworzące się pod naciskiem żądań świata pracy ustawodawstwo socjalne w krajach opierających swoje życie gospodarcze na zasadzie wolnej konkurencji nie zażegnawało pogłębiających się przeciwności. Cóż z tego, że podnoszono płace robotnicze, gdy jednocześnie zyski kapitalistów rosły w tempie o wiele zawrotniejszym, a różnica między

\* \* \*

„Po cóż bowiem najniższe zajęcia codzienne, po cóż handel, jeśli nie po to, by ciało zaopatrzone we wszystkie rzeczy niezbędne do życia, znalazło warunki potrzebne do kontemplacji?” (Jakub Maritain — „Religia a kultura”).

Czytając „Głód” Hamsuna nie możemy się powstrzymać od pytania: czy człowiek, żyjący w takich warunkach jak jego bohater może dążyć do celu, który jest jego powołaniem — do poznania Boga i służby Mu?

Nie ulega wątpliwości, że nie. Zrozumienie sensu własnej egzystencji, praca nad moralnym udoskonaleniem, nad wszechstronnym rozwojem własnej osobowości i współdziałanie z Łaską wymagałoby w tej sytuacji takiego napięcia heroizmu,

że przyjąć można ich praktyczną nieosiągalność. Tak oto ukazuje się naszym oczom metafizyczny aspekt nędzy — owa przerażająca a niezawiniona tragedia osoby ludzkiej, której wadliwie stosunki społeczne pozabawiają możliwości dążenia do Boga. Czyż nie napawa goryczą myśl, że — gdyby nie miłosierdzie Boże — nawet bramy nieba zawarte byłyby przed nędzarzem?

Trzeba widzieć w nędzy nie tylko krzywdę doczesną, ale i nadprzyrodzoną, nie tylko problem społeczny ale i metafizyczny. Dlatego Kościół przez cały ciąg swoich dziejów toczył zawsze walkę z głodem, dlatego nie ograniczał się do nauczania słowa Bożego, ale i karmił nędzarzy chlebem ziemskim, idąc za wzorem swego Założyciela, który dzielił chleb

## K U B E Z

stopą życiową kapitalisty i robotnika miast zmniejszać się, coraz bardziej rosła. W świetle tego walka klasowa staje się dla nas zrozumiałą jako logiczne następstwo wadliwego ustroju społecznego. Jest ona faktem socjologicznym. Rozważania na temat jej uznania bądź też potępienia są zagadnieniem wtórnym, następującym po zasadniczym stwierdzeniu obiektywnego istnienia walki klasowej.

Uznanie walki klasowej jako zjawiska społecznego wywołanego obiektywnymi przyczynami natury ekonomicznej nie powinno absolutnie prowokować do uznania jej jako bezwzględnej konieczności życia społecznego w ogóle. Nie czynią tego także marksiści, którzy wykorzystując walkę klasową w celu osiągnięcia władzy politycznej w ostatecznych konsekwencjach postulują jej unicestwienie. Stanowisko katolików tym bardziej nie powinno budzić żadnych wątpliwości. Fakt istnienia walki i nienawiści między ludźmi sprzeczny jest zasadniczo z duchem chrześcijaństwa, którego postulaty społeczne oparte są na założeniach moralnych i zmierzają do ugruntowania ustroju, opartego na zasadach sprawiedliwości, miłości i pokoju społecznego. Walka klasowa jest zaprzeczeniem tych zasad. W płaszczyźnie moralnej jest więc zjawiskiem ocenianym ujemnie, a taka ocena zobowiązuje katolików do jej przewyciężenia.

Aby jednak ocena walki klasowej była pełna musimy przeprowadzić ją nie tylko w płaszczyźnie moralnej, ale także celowościowej. Rzecz tkwi tu w zrozumieniu na dalszą metę tendencji, a nawet konieczności rozwojowych, które odzwierciedlają się w walce klas społecznych. Dopiero zrozumienie tych tendencji pozwoli nam w sposób właściwy przedsięwziąć kroki zmierzające do jej zlikwidowania. W przeciwnym razie nasze wysiłki przerodzą się w bezwonne konstruowanie sztywnych szablonów, w które chcielibyśmy wtłoczyć życie społeczne, zapoznając jego zasadniczy, spontaniczny nurt. Takie ujmowanie zagadnienia prowadzi w rezul-

tacie do jałowego moralizatorstwa. Zdaje się, że katolicy przeprowadzając słuszną i uzasadnioną założeniową ideologiczną ocenę walki klasowej w płaszczyźnie moralnej przeoczyli i nie docenili jej aspektu teologicznego. Skutki jakiego z tego wynikały postawiły pod znakiem zapytania skuteczność rozwiązań kwestii socjalnej przez chrześcijański ruch społeczny.

Szukając bowiem metody przewyciężenia walki klas wysunięto postulat „ponadklasowości”. Opierał się on na przeświadczeniu, że sprzeczności interesów klasowych będzie można łagodzić, a wreszcie unicestwić na drodze specjalnie ustanowionego arbitrażu społecznego. Owym arbitrem poskramiającym wybujałe egoizmy klasowe miało być państwo. Na pierwszy rzut oka idea ta wydaje się słuszną i rokuszącą nadzieję powodzenia. Zastanawiając się jednak nad istotą władzy państwowej dostrzegamy mankament zasadniczy. Władza państwowa w społeczeństwie klasowym (a z takim społeczeństwem mamy do czynienia) jest w gruncie rzeczy wytworem klasowych sił działających w tym społeczeństwie, jest emanacją interesów silniejszego zwycięzcy. Trudno więc, by mogła sprostać roli obiektywnego stróża równowagi społecznej. W błędnym poglądzie na istotę władzy państwowej, którą potraktowano w oderwaniu od korzeni, z których wyrasta, tkwił zarodek niepowodzenia.

Konsekwencją postulat „ponadklasowości” byłoby w pierwszym rzędzie pozostawienie społeczeństwa klasowego w nienaruszalnym stanie. Zostawiano więc w dalszym ciągu pożywkę pod narastanie przeciwności. W tych warunkach proces organicznego scalania członów antagonistycznego społeczeństwa prawdopodobnie w ogóle by nie nastąpił. Naturalne tendencje szłyby więc wręcz odmiennym kierunkiem, a rola państwa ograniczałaby się w najlepszym wypadku do niekończącego się obcinania nadmiernie wybujałych pędów klasowego egoizmu, co jest zresztą wątpliwe z uwagi na pochodzenie władzy państwowej.

<sup>1)</sup> Artykuł niniejszy obraca się wokół problematyki poruszonej w książce K. Hamsuna pt. „Głód”. Książka ta jest publikacją przedwojenną. Pragniemy podkreślić, że autor niniejszego artykułu omawia jedynie problematykę książki, uznając jej wartość. Nie przesądza to oczywiście o całkowitym odcieciu się od postawy autora książki a określić wojny.



i ryby między głodne rzesze. Dlatego etyka chrześcijańska z dawien dawna rozgrzeszała głodującego, któremu odmówiono pożywienia i który je bierze gwałtem. Dlatego nauka Ojców Kościoła, katolicka filozofia i doktryna społeczna podkreślały zawsze **obowiązek walki z głodem**, który jest najbardziej zasadniczym i niezmiennym w ciągu wieków obowiązkiem społecznym katolika. „Święty Tomasz poucza — pisze Maritain w „Religii i kulturze” — że człowiek, który chce prowadzić życie moralne i kształcić swój charakter, powinien posiadać pewien przynajmniej minimalny dobrobyt i zabezpieczenie materialne. Ta teoria potwierdza też to, że nędza — jak podkreśla to Leon Bloy i Péguy — jest jakby społecznym piekłem. Oznacza ona też, że warunki społeczne, następujące tylko okazji do grzechu, wymagające szczególnego heroizmu ze strony tych, którzy chcą żyć według prawa Bożego, nie są warunkami normalnymi. Dlatego dążenie do reform, mające na celu zmianę tych warunków, nie stoi w sprzeczności ze sprawiedliwością i naszym obowiązkiem”.

Kto chce poznać konsekwentnie katolicki pogląd na znaczenie nędzy jako czynnika dechrystianizacji człowieka, winien przeczytać wstrząsającą książkę Leona Bloy pt. „Le Sang du pauvre” albo „De Jean Coste” Karola Péguy. Uznanie przemożnego wpływu głodu na życie duchowe nie jest żadnym zamachem na katolicką naukę

o wolności woli. Jest to tylko pełne pokory stwierdzenie niedoskonałości człowieka, jego słabości i uległości ciała, które biorą początek z grzechu pierworodnego. Pokory, która z ust Karola Péguy wycisnęła błagalną prośbę:

„Panie, który ulepiłeś ich z gliny tej ziemi, nie dziw się, że są ziemią uwalani...”

\*

„Nad czym pan дума, kapitanie? ..Ręczę, że spełnię każdą pracę, choćby najcięższą...” (Knut Hamsun — „Głód”).

Przyjął się dzisiaj zwyczaj ciskania gromów na katolików XIX wieku za to, że nie dojrżeli na czas nieludzkiej krzywdy robotnika w okresie przeobrażenia przemysłowego i nie potrafili jej skutecznie przeciwdziałać. Wina ich jest w istocie wielka, jednakże sprowadzanie jej tylko do grzechu obojętności byłoby uproszczeniem. Wina katolików XIX wieku wynikała nie tyle z braku intencji przeciwdziałania złu społecznemu, ile przede wszystkim z nieumiejętności rozwiązania narastającego problemu socjalnego.

Revolucja przemysłowa przeobraziła bowiem w kolosalnym tempie strukturę społeczną zachodniej Europy, wnosząc fundamenty pod nowy ustrój społeczno-gospodarczy, w ramach którego realizacja tradycyjnego obowiązku walki z głodem w formie dotąd przyjętej, tj. przez dobroczynność, nie była wcale skuteczna.

Pozornie potrzeba tej walki uległa znacznemu wężeniu. Nowopowstające manufaktury wchłonęły nędzę miejską, dając jej pracę i uniezależniając od jałmużny. Prawda — warunki pracy pozostawiały wiele do życzenia, ale zdawaćby się mogło, że to już inny problem, nie wchodzący w zakres obowiązku pomocy głodnym. Ostatecznie przecież zarówno wybór jak i zmiana miejsca pracy jest wynikiem swobodnej i dobrowolnej decyzji robotnika, robotnik może przeto porzucić pracę, przy której dzieje mu się krzywda, i szukać innej. Fantastyczny rozkwit techniki ludził mirażami przyszłego „dostatku”. Zdawałoby się, że dzięki wspólnemu rozwojowi narzędzi produkcji i kapitalizacji wytworzonych dóbr ludzkość oddaliła się raz na zawsze od niebezpieczeństwa głodu, które jej groziło w prehistorii.

Czy tak było w rzeczywistości?

Już sama obserwacja warunków życia i pracy proletariatu przemysłowego nasunąć musiała przekonanie, że coś tu jednak nie jest w porządku i że liberalistyczny mechanizm samoczynnej równowagi ekonomicznej na tym odcinku wyraźnie zawodzi. Wstrząsający jest obraz warunków życia i pracy proletariatu. Oto ślaniające się na nogach kobiety, pracujące przy maszynie codziennie od szóstej rano do dwunastej w nocy. Oto Bethnel Green, dzielnica Londynu, w której każdego tygodnia — w poniedziałki i wtorki — na specjalnym targu

sprzedaje się wynędzniałe dzieci od lat 9 do pracy w wielkich manufakturach. Oto kopalnie, gdzie pod ziemią pracują i ślepną po 12 godzin na dobę czteroletnie dzieci, pilnujące drzwi w chodnikach. Oto cuchnące nory na przedmieściach robotniczych, w których rodzą się, żyją i umierają istoty ludzkie, wyrodniejące pod wpływem nędzy niby pędy roślin pozabawione słońca.

Nie łatwo było przystąpić do skutecznego rozwiązania problemu socjalnego, który narastał w dobie rewolucji przemysłowej. Tradycyjna dobroczynność zawodziła w nowych warunkach całkowicie. Trzeba było gruntownej rewizji dotychczasowych pojęć i metod działania, trzeba było długich naukowych studiów nad nową rzeczywistością społeczno-gospodarczą, przy pomocy których można by doszukać się właściwego korzenia zła. Nie prędko zrozumieli tę potrzebę katolicy XIX wieku, w których umysłowości pojęcie walki z głodem zbyt silnie skojarzyło się z pojęciem dobroczynności. Problem wyzysku proletariatu przemysłowego nie był niczym innym, jak tylko nową, zamaskowaną formą starego problemu głodu. Głód nie wygasł bowiem z zatrudnieniem biedoty miejskiej w manufakturach, ale tli się nadal we wnętrzu struktury socjalnej, dając o sobie znać ustawicznie przez fakty pozornie odległe. To on wzbudza fale migracji, reguluje przyrost ludności, wzmagając przestępczość. To on leży u korzeni całego problemu socjalnego — XIX-wiecznego, „wolnego” kontraktu pracy między robotnikiem a pracodawcą. „Wolność” tego kontraktu i równouprawnienia obu stron są w istocie fikcją. W rzeczywistości bowiem robotnik ulega niewidzialnemu terrorowi głodu, który zmusza go do przyjęcia pracy nawet w najbardziej nieludzkich warunkach. Skoro jego jedynym środkiem utrzymania egzystencji jest siła robocza, którą musi sprzedać i to sprzedać bieżąc, czyż będzie w stanie oprzeć się naciskowi pracodawcy, grożącego niezatrudnieniem?

W końcu XIX wieku sytuacja proletariatu ulega nieznacznej poprawie. Ustawodawstwo socjalne, stworzone pod presją rosnących w siłę ruchów robotniczych, znosi pracę dzieci, określa dzień roboczy, chroni pracę kobiet i młodocianych, wprowadza prawo koalicji, a później i układy zbiorowe. Równocześnie dzięki gigantycznemu rozwojowi przemysłu i potaniu dóbr pierwszej potrzeby wzrasta, stopa życiowa pracownika. Czyżby skończyła się epoka głodu? Bynajmniej. Ostatnie kilkadziesiąt lat są świadkami okresu, w którym powstają i rozwijają się nowe powroty prehistorii, kiedy to człowiek pośród całego bogactwa, nagromadzonego pracą pokoleń, staje w obliczu śmierci głodowej — jak bohater powieści Hamsuna. Z regularnością zjawisk przyrodniczych następują zakłócenia równowa-

gi ekonomicznej między podażą a popytem, a w ich wyniku absurdalne powstawanie zarazem nadprodukcji i niedokonsumcji. Gdy wyrzucone przez kryzys na bruk ulicy masy bezrobotnych cierpią dotkliwy głód, równocześnie — często w tym samym kraju — niszczy się zboże dla uniknięcia spadku cen. Głód XX wieku nie wynika już z braku dóbr konsumpcyjnych. Dóbr jest wiele — aż zbyt wiele, skoro się je niszczy w latach kryzysu. Głód XX wieku wynika ze złego rozdziału dóbr konsumpcyjnych, z wadliwego ustroju społecznego. Gdy przed rewolucją przemysłową stykała się z nim w miastach tylko wąska stosunkowo warstwa ubogich, utrzymywanych z dobroczynności, teraz staje się zjawiskiem społecznym, zagadnieniem życiowym całego świata pracy. Dlatego walka z głodem, która dziś jak i przed wiekami jest obowiązkiem wszystkich katolików, nie może przybrać w chwili obecnej innej formy, jak tylko formę czynnej walki przeciw wadliwej organizacji społecznej, przeciw ustrojowi społeczno-gospodarczemu, w którym kryzysy ekonomiczne są instytucją normalną. Walka współczesnych katolików z głodem jest zarazem walką o nowy ustrój, w którym człowiek byłby wyzwolony nie tylko od głodu, ale także od strachu przed głodem, w którym człowiek nie byłby zagrożony każdej chwili przez fluktuacje gospodarcze i zwolnienie z pracy, wtrącenie w otchłań nędzy. Nie wystarczy bowiem zapewnić pracownikowi dobrobyt — należy mu zagwarantować zabezpieczenie dobrobytu. W przeciwnym razie wolność jego, a tym samym warunki jak rozwój życia duchowego i doskonalenie się wewnętrzne, okazują się znów iluzją. Dopóki tego zabezpieczenia nie będzie niewidzialny terror strachu przed głodem łamać będzie osobowość człowieka nie gorzej niż sam głód. Widzieliśmy nieludzkie cierpienia bohatera powieści Hamsuna. Czy zdobycie pracy wyzwoli go od ich wspomnienia? Czy lęk przed dniem jutrzejszym, w którym znów znajdzie się bez pracy nie będzie na jego życiu psychicznym tak samo jak wtedy, gdy włóczył się ulicami w poszukiwaniu kęsa chleba? Nowy, tworzący się ustrój, będzie dla człowieka pracy tym gwarantem zabezpieczenia.

W zakończeniu powieści Hamsuna znajdujemy fragment, kiedy do portu w Chrytanii przybija barka rosyjska „Kopegoso”, na której brak ponoć jednego człowieka załogi. Biegając do niej nasz nędzarz, znajdujący się już u kresu sił. Zawieszony wzrokiem na ustach milczącego matrosa, drżący z niepokoju i obawy, rzuca słowa które brzmią jak deklaracja wszystkich naiwników świata:

„Nad czym pan дума, kapitanie?... Ręczę, że spełnię każdą pracę, choćby najcięższą...”

Karol Załozniowski

## KLASOWOŚCI

Takie rozwiązanie nie daje perspektyw trwałości, ani nie gwarantuje ciągłości i skuteczności wysiłków zmierzających do zlikwidowania antagonizmów klasowych. Pozostaje bowiem na skutek istnienia sprzeczności klasowych ciągłe zarzewie konfliktów, gotowe przy bardziej sprzyjających warunkach rozpalic się niszczącym płomieniem.

Dowodem na potwierdzenie błędności metody użytej przez chrześcijański ruch społeczny w celu przewyciężenia walki klasowej niech będą doświadczenia tego ruchu. Posługując się ideą „ponadklasowości” nie potrafili on zmobilizować wokół siebie dostatecznie silnego odłamu społeczeństwa, któremu by to hasło gwarantowało ochronę żywotnych interesów. Płynęła stąd chroniczna słabość ruchu pozbawionego określonej bazy społecznej. Program „ponadklasowy” chcąc wyrażać interesy wszystkich klas, nie wyrażał w istocie interesu żadnej. Działalność ugrupowań opierających się na chrześcijańskich założeniach ideologicznych w wypadkach wzrostu ich siły i znaczenia nabrała z reguły akcentów klasowych. Przykładem może być sam prytoczyć wiele. Wszak chrześcijańskie związki zawodowe mimo swych ponadklasowych deklaracji realizowały politykę klasową. Również klasową była faktycznie działalność tych partii chrześcijańsko-demokratycznych, które oprowadane przez elementy społecznie konserwatywne/ grawitowały w kierunku obrony istniejącego porządku społecznego, osłaniając swe dążenia „ponadklasową” frazeologią. Tak więc samo życie wykazywało fałszywość „ponadklasowych” sformułowań programowych i nagięło praktyczną działalność do swoich wymagań.

Ogólnie biorąc postulat „ponadklasowości” jakkolwiek szlachetny w intencjach, w praktyce wydał niejednokrotnie gorzkie owoce, rzucając ujemne światło na społeczną rolę chrześcijan na naszym etapie rozwojowym. Do oskarżycieli nie można mieć żalu — raczej do siebie samych. W działalności społecznej liczą się bowiem fakty, nie intencje. Fakt odchodzenia od Kościoła klasy

robotniczej winien być ostrzegawczym sygnałem dla chrześcijańskich działaczy społecznych.

Czas więc najwyższy o nowe, bardziej realistyczne spojrzenie na problem przewyciężenia walki klasowej, który dla katolików winien być przeciwieństwem szczególnie istotny. Sądzi my bowiem, że realizacja dotychczasowego chrześcijańskiego ideału społecznego w warunkach różnicowania klas jest rzeczą niemożliwą. Teoria „ponadklasowości” teoretycznie bardzo ryzykowna, a praktycznie będąca fikcją, zacieraając kontury konkretnego społecznego i stwarzając co najwyżej pozory harmonii nie czyni zadość temu wymaganiu. Należałoby więc pokusić się o jej zasadniczą rewizję. Zdaje się, że rozwiązanie jest tylko jedno. Jest nim koncepcja społeczeństwa bezklasowego. Dopiero społeczeństwo bezklasowe, wolne od międzyklasowych sprzeczności, zdaje się w pełni gwarantować trwałą realizację personalistycznych postulatów społecznych chrześcijaństwa.

Idea społeczeństwa bezklasowego nie jest zresztą w chrześcijańskiej myśli społecznej specjalną nowością. Wyrazem jej są głoszone już w 1936 roku poglądy Jakuba Maritaina. Jego koncepcja nowej cywilizacji chrześcijańskiej uwzględniła postulat przewyciężenia podziału klasowego. Kreśląc obraz przyszłego społeczeństwa, „społeczeństwa bez burżuazji i proletariatu”, Maritain domaga się zastąpienia hierarchii klasowej z właściwym jej uciskiem jednych klas przez drugie przez hierarchię funkcji. („L'ideal historique d'une nouvelle chrétienté”, „Humanisme intégral”).

Przyjęcie koncepcji społeczeństwa bezklasowego jako wstępnego etapu w drodze do pełnej realizacji chrześcijańskiego ideału społecznego po- ciąga za sobą ważne konsekwencje. Zniwala bowiem do efektywnej walki o takie społeczeństwo. Nie zrodzi się ono samo. Procesy socjologiczne, jakkolwiek zbyt silne, by móc planować działalność społeczną wbrew nim, nie działają jednak automatycznie. Spotykają się bowiem ze świadomym przeciwdziałaniem tych sił społecznych, którym zale-

ży na utrzymaniu dotychczasowych stosunków. W dążeniu do społeczeństwa bezklasowego z konieczności trzeba przyjąć postawę walki, a nie pacyfizm społecznego za wszelką cenę, którego nie należy utożsamiać z ideą pokoju społecznego. Walcząc o realizację pokoju społecznego musimy przede wszystkim stworzyć warunki, w których mógłby on o- biektownie istnieć. Konsekwencją naszych poczynań będzie oparcie się na tych siłach społecznych, które o takie warunki walczą. Nawiasem należy dodać, że te siły reprezentują walory moralne bliskie wymogom moralności chrześcijańskiej. Warto tu zacytować opinię ks. Michonneau, proboszcza robotniczej parafii Paryża, o postawie moralnej klasy robotniczej: „Podstawowe rysy Ewangelii odpowiadają w swej istocie temperamentowi moralnemu robotnika: miłość, wierność, oddanie, oderwanie od bogactw” („Znak” nr 3, str. 313). Rozważysz bezamiętnie historię ruchu robotniczego, pobudki jakie nim kierowały i cele do których dąży, przyznać trzeba wypowiedzi ks. Michonneau dużą słuszność.

Przeciwnicy społeczeństwa bezklasowego lubią często zarzucać tej koncepcji utopijność. Nie wchodząc w motywy kierujące tego rodzaju rozumowaniem trzeba stwierdzić jego mocno niehumanistyczny posmak. Takie stanowisko jest w gruncie rzeczy kapitulacją wobec zła właściwego walce klasowej, którą teoretycznie zwalczając faktycznie się petyfikuje pod szyldem „ponadklasowej” ideologii. A przecież katolikom, którym wyznawana wiara daje kategoryczny nakaz walki o sprawiedliwość społeczną, obce powinno być pojęcie kapitulacji wobec napotykaných przeszkód. Tym bardziej, że przeciwności zachodzące w dziedzinie stosunków między ludźmi bywają przyczyną rozkładu moralnego, deprecjonują duchowe wartości chrześcijaństwa w oczach szerokiej mas. Walcząc o ustrój, w którym te wartości miały by szansę owocnej ekspansji, walczymy pośrednio o duszę ludzką. Stawka jest wielka i zobowiązanie

Wojciech Bruno

### UWAGA

REDAKCJA „DZIS I JUTRO” PRAGNIE NABYC NASTĘPUJĄCE STARE, JUZ WYCZERPANE NUMERY TYGODNIKA NR. NR. 3 4, 5, 6 za rok 1945 NR. NR. 2 (8), 23 (29), 34 (40); za rok 1946 ZWRACAMY SIĘ Z PROŚBĄ DO NASZYCH CZYTELNIKÓW POSIADAJĄCYCH TE NUMERY, A NIE ZBIERAJĄCYCH KOMPLETÓW, O Odstąpienie ich REDAKCJI, EWENTUALNE ZGŁOSZENIA PROSZE SKŁADAĆ NA RĘCE SEKRETARZA REDAKCJI, WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43, I p. TEL. 8-80-26.



Jerzy Artemski

# Z festiwalu sztuk rosyjskich i radzieckich

## M. Bułhakow — „Ostatnie dni”

Sztuki biograficzne spełniają rolę podwójną: z jednej strony zapoznają widownię z postacią, której życie (lub fragment) staje się osnową dzieła, a z drugiej prezentują dorobek dramaturga. Z tych też dwu punktów widzenia rozpatrywać trzeba wystawioną w Państwowym Teatrze Polskim sztukę Mikołaja Bułhakowa p. t. „Ostatnie dni”.

Ostatnie dni Puszkina to zakończony katastrofą okres najintensywniejszego napięcia wielu konfliktów wewnętrznych poety. Końcowego powiązania oczekiwały sprawy osobiste ze sprawami społecznej postawy artysty. Zazębienie to przyniosło przedwczesną śmierć poety, śmierć wynikłą z postrzału otrzymanego w pojedynku, który z powodzeniem (wskazują na to późniejsze badania historyczne) można nazwać uplanowanym, perfidnym morderstwem.

„Głowa jego pochylała się nieco, ręce, które przed kilkunastu minutami wykonywały jeszcze jakiś konwulsyjny ruch, leżały spokojnie wyciągnięte, jakby opuszczone dla odpoczynku po ciężkiej pracy” — tak opisuje ostatnie chwile Puszkina jego przyjaciel Zukowski. Tak, w dniu 29 stycznia 1837 roku, nastąpiła śmierć wielkiego poety, śmierć, która jednym przyniosła radość i ulgę, drugim szczyry ból i żal serdeczny.

Ucieszył się tą śmiercią Mikołaj I, w pewnym sensie tragedii inspirator. Odetchnął z ulgą dworscy slugusi, których piętnował w swoich utworach Puszkina.

W zamyśleniu za to — zacytujmy słowa K. Simonowa — „przez mieszkankę na Mojeje, gdzie spoczywało ciało Puszkina, przewinęła się w niekończącym się korowodzie obnażonych głów cała porażona w bólu i gniewie oświecona Rosja, wszyscy zytelnicy Puszkina... Tak oto u trumny Puszkina zetknęły się dwie Rosje: Rosja oficjalna, mikołajowska, której poeta przez całe życie nienawidził i z którą przez całe życie walczył, i Rosja młoda i postępową, o którą przez całe życie walczył i za którą oddał swoje życie”.

Nie zdobył sobie uznania Aleksander Puszkina w oczach możnowładcy Mikołaja. Nie ma w tym nic dziwnego. Jakżeż mógł się doczekać łaskawości u ponurego satrapy poety, który w tajemnicy przed ochroną rozprzeździł takie słowa:

O druhu, wierz mi, wszędzie ona  
Szczęśliwa gwiazda nad oczyną,  
Zerwie się Rosja przedbudzona  
I na ruinach despotyzmu  
Wyrwie lud nasze imiona.  
(Tłum. J. Tuwim)

Na szczyty sławy wzniesiony został Puszkina przez wdzięczność narodu, o którego prawa w miarę sił swoich walczył.

Urządzone w 150 rocznicę uroczyste obchody „Roku Puszkina” nie tylko w Z.S.R.R., ale i w wielu innych krajach spełniają proroczo zamknięte w słowach:

I naród w sercu mnie po wieczny czas  
utwierdzi  
Za to, żeś lutnią w swój nielitościwy  
wiek  
Wysławiać wolność śmiały i wywał  
miłosierdzia,  
I szlachetności uczuć strzeżli.  
(Tłum. J. Tuwim)

Mikołaj Bułhakow zamierzył swe dzieło znacznie głębiej, niż się to dzieje w podobnych wypadkach. Mając do dyspozycji wspaniały sceniczny materiał zaczerpnięty z przeżyć natury osobistej — nie postawił anegdoty na czołowym miejscu. Na plan pierwszy wydobyl dramaturg — dramat walki Puszkina z wawstwą i wrogą kamarylą dworską, dramat walki o prawo do swobodnej twórczości, walki z siłami, które więzić chciały talent i własne mu narzucać prawa. Stąd większość scen sztuki rozgrywa się właśnie w owym świecie intrzyg, ponurych kno-wań i zbrodniczych podstępów.

Mikołaj Bułhakow, aby zamierzenia jego stały się tym wyraźniejsze, zrezygnował z wprowadzenia Puszkina na scenę. Mówi się o nim, słyszy się o nim — nie widzi się go nigdy. Rozwiązanie dramaturga wydaje się słuszne nie tylko jako forma uniknięcia trudności pokazania na scenie postaci miary autora „Borysa Godunowa”, ale i dlatego, że w ten sposób położony został akcent na sprawę zasadniczą: w walce, której ofiarą padł młody poe-

ta, po dwu stronach barykady stali nie tylko ludzie, przede wszystkim stały idee.

Dla wykazania starcia koncepcji wolności człowieka z despotyzmem carskim nie był potrzebny sam Puszkina. Wystarczyły jego myśli, jego idee, wyrażone pięknym, natchnionym wierszem. Pięknym poezją Puszkina osiągnięta jest cała sztuka Bułhakowa. Strofy twórcy „Oniegina” stanowią jakby filary, na których wspiera się gmach, budowany ręką dramaturga-biografa. Bułhakow wytworzył wokół niewidocznej postaci Puszkina tę atmosferę, w jakiej żyje dziś w narodach radzieckich pamięć tego wielkiego poety, nazywanego postępowym działaczem społecznym, wodzem i ojcem nowej, realistycznej i z ducha ludu poczętej literatury rosyjskiej.

Dla osiągnięcia tych zamierzeń Bułhakow wykorzystał wszystkie możliwości dramaturga. Sztuka pisana jest z niebywałym rozmachem, wyłącznie dla wielkiego i dobrego teatru. Dla krótkiej sceny pojedynku, rozgrywanego się i tak za kulisami, dla kilku słów zamienionych między sekundantem a ojcem mordercy, dla tego, by publiczność usłyszeć mogła tak w skutkach tragiczny strzał — autor nie waha się stworzyć oddzielnego obrazu o bardzo kosztownej dekoracji.

Dlatego, by miśm Puszkina przeciwstawić zgniliznę dworu carskiego, autor oprowadza nas po salonach Petersburga, po kancelariach czynowników, ba, każe nam przyglądać się balowi w Pałacu Zimowym. Zdaje się, iż to zjawisko jest cechą szczególną dramaturgii radzieckiej. Nie ma trudności i przeszkód, by pokazać sztukę słuszną ideowo. Dramaturdzy nie liczą się zupełnie z utyskiwaniami ludzi teatru, którzy najchętniej widzieliby sztukę z niewielką obsadą, poruszającą się w jednej dekoracji. Wielkim konceptem służy wielki teatr i tylko w takim, odważnym można pokazać Puszkina. Tylko w teatrze patrzącym na swoje możliwości i zadania, par excellence nowoczesnie pokazana może być „Wielkie dni” Wirty. Dlatego „Ostatnie dni” są starą pozycją (od r. 1943) w repertuarze Moskiewskiego Artystycznego Akademickiego Teatru (MCHAT). I... dlatego niewątpliwie sztukę tę wybrał Schiller do repertuaru Teatru Polskiego.

Bułhakow nie liczy się również z tradycyjnie przyjętym czasem trwania spektaklu. Przedstawienie warszawskie trwa prawie cztery godziny. Pominiawszy drobne usterki techniczne,

które wydłużają spektakl, trzeba przyjąć, iż w idealnych warunkach mógłby on trwać nie krócej niż 3 godziny. Widać było, iż nasza publiczność nie jest przyzwyczajona do tego. Autor w zasadzie musi mieć pod tym względem swobodę. Nie można rezygnować z pełnego przedstawienia sprawy dla jakichś tam przyzwyczajenia. Zdarzają się jednak dość często błędy. Jeden z nich polega na tym, że autor dla za-doszczędzenia tradycyjnym prawom, wyciąga za uszy jednoaktówkę do formatu sztuki całospoktaku. Zdarza się jednak i błąd drugi, polegający na braku należytego wyoczenia ważności materiału, jakim dysponuje w chwili pisania sztuki. W „Ostatnich dniach” mamy do czynienia z drugim rodzajem błędów. Sądzę, iż można by bez zubożenia treści sztuki, z gwarancją osiągnięcia tych samych efektów zarówno scenicznych, jak i ideowych dokonać pewnych skreśleń w tej sztuce.

Przesadna rozbudowa dramatu kończy się czasem w sposób zupełnie niezamierzony. Weźmy dla przykładu końcową scenę „Ostatnich dni”. Z finału dramatu o Puszkine robi się bez mała (może i reżyser ponosi za to część winy) satyryczna jednoaktówka o kobiecym wścibstwie. Tego Bułhakow na pewno nie chciał. Ale takie właśnie wrażenie wywołuje skutkiem nadmiernej, jednostronnej akcentacji kładzonej na epizodycznej postaci żony droźnika.

Mimo te niedociągnięcia uznać trzeba „Ostatnie dni” za sztukę pisana z dużym wyczuciem scenicznym.

Reżyser sztuki, Józef Wyszomirski na ogół trafnie uchwycił wszystkie intencje autora — zrozumiał je i pokazał należycie. Wydaje się tylko, iż w niektórych scenach zastosowano błędne podkreślenia. Zaszkożdziła może również spektaklowi nienaturalna nieraz i sztucznie wywołwana nastrojowość. Za najlepiej opracowaną i przemyślaną scenę uważam demonstrację przed domem żaloby.

Z wykonawców wyróżnić trzeba: Ninę Andrycz (Natalia), Władysława Godika (Bitkow), Władysława Hańcie (Mikołaj I) i Jana Swiderskiego (D'Anthès). Ogólnie stwierdzić można, iż spektakl pod względem aktorskim stoi na rzadko oglądanym poziomie. Recenzent stwierdza szczerze, iż jednorazowe obejrzenie tej gigantycznej maszyny dało mu niewystarczającą ilość materiału do bardziej analitycznego omówienia poszczególnych kreacji. Sądzę, że będzie okazja ponownego obejrzenia sztuki i powrotu do tej sprawy po Festiwalu.

## M. Swietłow — „Bajka”

Dziwna to bajka. Grywa się ją na scenach młodzieżowych, a przecież i starsi, dojrzały ludzie nie jedną z niej korzyść wyciągnąć mogą.

Dziwna to bajka. Ot, kończy się już cała historia szczęśliwie, piękna Katia zdążyła zamartwychwstać, Szurik przestał płakać, zlikwidowany został dalszy plan sceny na znak, że wróciliśmy z kraju uludy do rzeczywistości, maszynista ma zamiar opuścić kurtynę i wtedy rozlega się dzwonek telefonu — Iwan Anisimowicz otrzymuje zlecenie zmontowania grupy ekspedycyjnej, która wyruszy po złote runo. Przed chwilą byliście świadkami wyprawy zmyślonej — za chwilę powtórzy się to samo na jawie. Inne może być szczególne wyprawy — mniej skomplikowane a bardziej naturalne napotka ona przeszkody. Jedno jest pewne: ci sami uczestnicy tak samo będą się zachowywać w ekspedycji prawdziwej jak i w zmyślonej. Tak samo to znaczy: dzielnie i pogodnie. Taki sam będzie cel wyprawy, to znaczy nie — korzyść osobista, lecz praca dla dobra całego społeczeństwa.

Taki jest sens przemylej sztuki Swietłowa. „Bajka” technicznie optymistyczna i wiara w człowieka. Grupa studentów zamierzająca dla rozrywki przemieścić się w krainę złudzeń długo musi się zastanawiać nad tym, kto spośród całego grona ma przyjąć na siebie niezbędną przecież w bajce postać „czarnego charakteru”. W tym kłopotcie ze znalezieniem wykonawcy zabójstwa Kati tkwi wcale nie bajkowa, choć tak się to nam ciągle jeszcze wydaje, wizja naszej przyszłości, w której jeśli tego już dziś bardzo zechcemy — trudno nam będzie spotkać złych ludzi. Musimy tego chcieć i chęć tę realizować

poprzez należyte wychowanie, przez na danie pierwszym krokom młodzieży właściwego kierunku wskazującego najpiękniejszy cel: razem do szczęścia wszystkich.

„Bajka” nie należy do utworów łatwych sceniczenie. Sens realizacji leży właściwie w tym by utrzymać widza przez cały czas na pograniczu uludy i życia. Zbigniew Sawan, realizator sztuki Swietłowa, wybrał z tego trudnego zadania w sposób zupełnie przekonujący. Zaczęło się od tego, że dla całej fantastycznej części spektaklu zostawił ramy rzeczywistości, fragmenty ścian studenckiego pokoju w którym zaczyna się akcja, i zegar, który w każdej chwili przypominał widzowi, że nie wielka jest różnica między bajką a prawdą. Były i takie momenty kiedy porwała nas fantazja. Zapominaliśmy o zegarze, unosiliśmy się zbytnio ponad czas — wówczas zawsze kapitalna rozmowa Szurika i Pieti ścigała nas pewnie ale nie brutalnie na ziemię i wówczas znowu do uszu dochodziło miarowe cykanie zegara.

Zreżna żonglerka tymi trzema planami nie dopuściła by widz zapomnieć choćby na chwilę o tym, że w spektaklu nie idzie tylko o podniesienie naszej ciekawości fantastyką przygód lecz i o to, by każde bajkowe wydarzenie tu maczy się natchnieniem na język rzeczywistości.

Koncepcji reżyżerskiej przyszedł z pomocą aktorzy. Grę zespołu szcześnie go cechowała prostota, szczerza swoboda i bezpośredniość słowem wszystko to co właśnie akurat tutaj, w sytuacji pozornie dwuznacznej, było niezbędne. Mniej szczęśliwie wypadła ilustracja muzyczna, która przez swój wyraźny przypadkowy charakter brzmiała w ze-

## A. Ostrowski — „Burza”

Dwie grupy społeczne nadawały ton życiu carskiej Rosji w latach życia Aleksandra Ostrowskiego (1823 — 1886): szlacheckie ziemiaństwo i kupiectwo. Obie te grupy zdołały na przełomie ubiegłego półwiecza tak wyodrębnić swoje cechy szczególne, że dojrzały już do tego, by je zręcznym piórem dramaturga — satyryka przekazać potomnym na wieczną rzecz pamiętającą.

W sezonie 1946-47 oglądaliśmy w Warszawie „Wilki i owce”. Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich umożliwił nam obejrzenie „Burzy” realizowanej przez Państwowy Teatr im. Stefana Żeromskiego z Radomia. W „Wilkach i owcach” widzieliśmy szlachtę, która dogorywając na resztkach magnackich fortun, usiłowała tupetem maskować prawdziwy stan rzeczy — w „Burzy” pokazano nam kupiectwo na szczycie swej drogi życiowej, na szczycie, z którego nie było już innego sposobu odwrotu czy dalszej wędrówki, jak tylko złamanie karku na dnie przepaści.

Mimo odrębnych warunków bytowania, mimo wzajemnej obojętności zarówno u szlachty, wysoko o sobie mniemającej, jak i u kupiectwa, zapatrzonego w złoty cielec, wyodrębnić można jedną cechę wspólną. W jednym punkcie zetknęły się ze sobą charaktery skąd inąd wręcz wrogie — rzekłbyś, że to bliźnięta tym samym mlekiem karmione. Ta wspólna cecha to despotyzm w stosunku do otoczenia. Wyrósł on z różnych źródeł: tam z wiary w swoje wyższe poslannictwo, to z przekonania, że rządzi ten, kto ma pieniądze. W ostatnim etapie zwyrodnienia zatary się różnice pochodzenia, zostały jednakowe skutki. Meropa Murzawiecka, obywatelka ziemka jest kulek w kulek podobna do Marfy Ignatiewny Kabanowej.

Aleksander Ostrowski, bystry i wnikliwy obserwator ze zręcznością rasowego dramaturgopisarza zostawił nam portrety „bohaterów” tamtej epoki. Spektakle „Wilki i owce” i „Burzy” są dziś dla nas bardziej wykładami z zakresu socjologii, niż dramata. Jakby w przewidywaniu tego stanu rzeczy, Ostrowski nie martwił się zbytnio do borem najszcześniejszych akcji — cały wysiłek skupiając na wiernym, kontrastowym przedstawieniu typów. Sprawy takich ludzi nie mogły być ważne ani dla autora, ani dla tych, którym obrazy swoje chciał on przekazać. Stąd wzięło się użycie do rysunku ołówka specjalnie ostrego — stąd postacie o zarysach niemal patologicznych.

I w tej dokumentacji szukać należy

istotnej wartości spuścizny po Ostrowskim. Wskazanie ważne dla reżyserów, biorących na warsztat jakikolwiek sztukę autora „Burzy”. Zupełnie fałszywe efekty osiąga się wówczas, gdy z błędnych wychodząc założeń, rzuci się najjaśniejszy snop światła na sprawę w sztuce ubożną.

Tak właśnie jest z „Burzą” w realizacji radomskiej. Wątpliwego znaczenia romansowy dramat Kateriny i Borysa jest wątkiem, który tylko waze ze sobą postacie Kabanichy i Dikoja. Treści sztuki trzeba szukać gdzie indziej.

Tkwi ona w przeciwstawieniu Kuli-gina światu Dikoja i Kabanichy. W tym zagadnieniu trzeba było szukać sensu sztuki autora, o którym słusznie mówi się w programie, że twórczość jego miała cechy działalności rewolucyjnej — „Promienia światła”, trzeba było dopatrzyć się dzisiaj przede wszystkim w wyraźnej i zdecydowanej, choć nieco przez autora zamglonej nieszkodliwym maniactwem, a przez wykonawcę i teatr zdecydowanie „puszczonej” postaci zegarmistrza samouka, który usiłuje wynaleźć perpetuum mobile.

Tymczasem widzieliśmy coś zupełnie innego. Oglądaliśmy lwawy, rozklejki, sentymentalny melodramat dwójga sym patycznych skąd inąd kochanków. To jest postawione jako zagadnienie centralne.

Pod pióro przemocą wciska się porównanie. „Burza” w reżyserii Morycowskiego wygląda tak, jakby ktoś wystawił „Halke” bez muzyki Moniuszki. A przecież dla nas istnieje tylko opera — samo libretto nie przeżyłoby śmierci swego autora.

Piszę te słowa z wielką przykrością. Chciałoby się zupełnie inaczej. Chciałoby się o wielkiej ambicji prowincjonalnego teatru, który w dobrej intencji pragnie pokazać swoim widzom repertuar o dużym ciężarze gatunkowym, chciałoby się o równie wielce ambitnym wysiłku aktorów, którzy podejmują się zdźwignia na swoich barkach rolę nie tak znów lekkich. Cóż, kiedy przede wszystkim trzeba stwierdzić zasadniczy błąd w założeniu, bo ta jedna tylko pomyłka wypacza spektakl w sposób zupełnie zdecydowany.

Wydaje się, aby rzecz wyczerpać do końca, iż sedno zła leży w mylnej interpretacji sugestywnej wypowiedzi Dobrołubowa o „promieniu światła w państwie ciemności”. Tym promieniem ma tu być Katia. Jasność tej postaci zamierzono pokazać nam jako przeciwwagę nocy. Można było zgodzić się z tym, jakkolwiek promień Kati świeci nam blaskiem bardzo już dla nas matowym i nieważnym, ale snop światła został tu wydobyty z tak mocnego reflektora, że wszystko inne zostało tak mało wyraźne, tak umowne, jak umowne jest dla widza z siódmego już rzędu piekło, pokazane na ścianie w przedostatnim obrazie.

Przyjemną niespodzianką był dla widowni poziom aktorów radomskiego zespołu. Sztuka Ostrowskiego jest pod tym względem bardzo trudno. Składa się ona przecież raczej z potężnych, a niebezpiecznych dla odtwórcy monologów, niż ze scen dialogowych. Bohaterowie dramatu wyglądają przecież czasem do otoczenia, czasem wręcz do siebie tylko dłuższe przemówienia. Jakież to uciążliwe dla skazanego na statyczność otoczenia. A przecież nie było większych usterek. Te strony spektaklu należy chwalić słowami mocnymi i zupełnie zdecydowanymi. Podnieść trzeba także i to, że oglądany spektakl „Burzy” jest polską prapremierą tej sztuki, żyjącej trwale na pierwszych scenach radzieckich.

mniejsze role bardzo czasem skromnymi możliwościami.

Nie brakło więc i w spektaklu szcześniejszym zespołowej trzeba wprowadzić hierarchię aktorów. Sprzeciwia się temu koncepcja autora — coś jednak na to poradzić. Na górnych szczeblach drabinki ustawić trzeba Lidie Wysocką (Katia), Krystynę Feldman (Szurik), Janinę Szydłowską (Tania) i Włodę Katuskiego (Wania). Kwartet ten bardzo zręcznie narzucił reszcie zespołu właściwy dla sztuki Swietłowa ton.

Spektakl oprawiony został umownymi, ale zrozumiałymi dekoracjami Władysława Buśkiewicz i Andrzeja Sadowskiego.



Płaszczyna, naga, wielka, szara płaszczyna nie jest atrakcyjna. Obawiam się zawsze, że gęsto zadrukowana strona na której oko nie ma się gdzie za trzymać, budzi jakąś podskórną obawę monotonii, nie interesuje. Dlatego też chcę lapidarnie określić co jest tematem dzisiejszej rubryki i dlaczego — aby wyjaśnić, a przypadkiem zablakowanym na tę stronicę zdeklarowanym przeciwnikom kina oszczędzić spóźnionej refleksji i dalszego trudu.

### ZAGADNIENIE

W recenzjach wielokrotnie używane jest pojęcie: „montaż”. Znaczenie samego pojęcia (pochodzącego od francuskiego „montage”) jest — zwłaszcza w dzisiejszej dobie uprzemysłowienia — jasne. Montować — a więc łączyć poszczególne części tak, aby powstała logiczna, zamierzona całość. Czym jest jednak montaż jako środek ekspresji filmowej?

Opisywany był już eksperyment dokonany przez Pudowkina, który wybrał fotografię jednego z aktorów radzieckich na której twarz nie posiadała zdecydowanego wyrazu i połączył ją ze zdjęciami talerza zupy, trumny ze zwłokami kobiety i fotografią małej dziewczynki bawiącej się pluszowym niedźwiedziem. Widzowie byli wstrząśnięci grą artysty — za każdym razem inną. A twarz była ta sama.

W drugim wypadku, w czasie pracy nad filmem „Potomek Dżyngischana”, potrzebny był Pudowkinowi tłum Mongołów przypatrujących się z zachwytem futerku lisa. Pudowkin zaangażował chińskiego kuglarza i sfotografował twarze obserwujących go Mongołów. Połączenie tej sceny ze zdjęciem futerka dało pożądaną wyraz.

Te dwa przykłady ilustrują znaczenie montażu jako organizatora wyobraźni widza z jednej strony — z drugiej możliwości (i ułatwienia) jakie nasuwa montaż realizatorowi i scenarzysty.

\*\*

Zagadnienie — nazwijmy je najogólniej — wzajemnego stosunku poszczególnych elementów nie jest zagadnieniem, które odkrył film.

Spróbujmy — tak jak to robią często spotykane zagadki — przemieszczać wyrazy w poprzednim zdaniu. Otrzymamy szereg oderwanych cząstek znaczeniowych: wzajemnego, najogólniej, nie, je, stosunku, zagadnienie itp. Dopiero ich odpowiednie ustawienie wyraża myśl, tworzy zdanie (które nie jest tylko prostą sumą poszczególnych elementów). W muzyce piosenka czy symfonia jest pewnym układem: jest zbiorem dźwięków ułożonych w specyficzny sposób — przez twórcę zamierzony i niezmienny. Zmiana ustalonego porządku poszczególnych cząstek (nie mówiąc już o odrzuceniu którejś z nich) powoduje załamanie się melodii, rytmu itp. — a więc pozbawia utworu charakterystycznych dla niego i tylko jemu właściwych cech, deformuje całość. Gdy Mickiewicz pisze:

„Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawieli...”

to operuje poszczególnymi oderwanymi fragmentami których połączenie daje obraz i nastrój burzy. Dwa pierwsze z nich to fragmenty o przewadze wrażeń wzrokowych (odgłosy zdzierania i łamania nasuwają się przez ekojarzenie wtórne), dwa o przewadze wrażeń słuchowych (ryk wód, szum zawieli). Technika opisu jaką posługuje się tu Mickiewicz jest analogiczna do techniki filmowca — montaż obrazów (rzut kamery na zdzieranie żagli i łamanie steru) i towarzyszących im efektów akustycznych.

Obserwując obraz na ekranie nie zdajemy sobie sprawy jak olbrzymia różnica dzieli filmy, które widzimy w tej chwili od filmów produkowanych przez pionierów kinematografii, co zawdzięczamy wielu nowym środkom ekspresji (które zdołał sobie wykształcić film)

1) „Dziś i Jutro Nr. 42.

### Leszcz.

# MONTAŻ

i rozwojowi filmowych urządzeń technicznych.

(Pojęcia te są zwykle mieszane w języku potocznym — słowem „technika filmowa” obejmujemy zarówno aparaturę fotograficzną i dźwiękową jak i zasób środków ekspresji, którymi dysponuje twórca filmu a które mają swoje oparcie w możliwościach jakie daje aparatura filmowa i blona jako podstawowy materiał).

Fakt, że taśma filmowa utrwała obraz i następnie może ulec dowolnemu pocięciu i sklejeniu determinuje użycie montażu. Uptęnięto jednak wiele lat od chwili, gdy nauczono się te możliwości wykorzystywać w pełni. Konkretny przykład, sądzę, lepiej niż omówienie wprowadzi w problematykę, zorientuje czym stał się dla sztuki filmowej montaż.

I oto dla zilustrowania dzieje jednego z pionierów filmu.

### POCZĄTKI

Pierwsze filmy były reportażami — a więc notowały w ich naturalnym następstwie zdarzenia widziane okiem kamery ustawionej w jednej pozycji. Istotnie „notowała” ona jedynie pozostając statyczną, nie zmieniając pozycji nie selekcyjnie materiału a jedynie rejestrując to na ujęcie czego pozwalał zasięg obiektywu. Pierwsze filmy fabularne (trzeba sobie zdawać sprawę — co zapewne wywoła uśmiech niejednego z widzów — że w owym czasie, na początku XX wieku, filmy te niejednokrotnie były krótsze niż dzisiejsza kronika filmowa) zachowały ten sposób ujęcia, stosowały technikę, którą można określić jako teatralną a ściślej chronologią wydarzeń przebiegających w czasie akcji, jedność miejsca i statyka kamery były w pełni przestrzegane.

Jednak powoli pionierzy filmu (a wśród nich zwłaszcza Melies i Porter) zaczynają zdawać sobie sprawę, że nowy wynalazek — taśma filmowa — pozwala im na uzyskiwanie nieznanych dotąd efektów za pomocą nowych, filmowi tylko właściwych środków ekspresji. Pojawiają się pierwsze próby nieznanych poprzednio i szokujących widza efektów „akich, jak zbliżenie, pojawiają się pierwsze, nieśmiało jeszcze, próby ruchu kamery i montażu. Dopiero jednak D. W. Griffith wypracował podstawy nowoczesnej sztuki filmowej.

\*\*

D. W. GRIFFITH producent wszystkich wielkich „sukcesów” Biograph Company, rewolucjonizujący dramaty filmowe i kładący podwaliny pod nowoczesną technikę sztuki (filmowej)...

(Z ogłoszenia Biograph Co. w N. Y. Dramatic Mirror z 3.12.1913 r.)

Rok 1907. Dawid Wark Griffith, wówczas 27 letni młody człowiek o nieokreślonym zawodzie, który w swojej karierze życiowej był już sprzedawcą w sklepie z książkami, urzędnikiem, reporterem, zarabia na życie jako aktor grający w teatrze objazdowym i — od czasu do czasu — sprzedając płody swego pióra. Jego ambicją jest stać się pisarzem. W chwilach wolnych od innych zajęć zaprząta sobie głowę wynalazkami takimi jak nie podlegające przebieciu opony, obmyśla metody puzkowania przyrządów kuchennych i wykorzystania energii morza. Jego zarobki nie są wielkie, z trudem wiąże koniec z końcem i sądzi, że któryś z tych wynalazków może kiedyś uczyni go nagle bogatym.

Będąc w New Yorku spotyka przyjaciela, który proponuje mu pracę w jednym z towarzystw filmowych (American Mutoscope and Biograph Co.). Jego płaca ma wynosić pięć dolarów

dziennie za grę aktorską, 10 — 15 za przygotowywanie scenariuszy. Griffith zgadza się.

I oto w 1908 roku pojawiają się „Przygody Dolly”, film którego długość wynosiła dwieście metrów<sup>2)</sup> — a więc przez współtowarzyszy pracy uważany był za niezwykle długi na owe czasy, zbyt długi. Jest to pierwszy film nakręcony przez Griffitha jako reżysera, którym stał się w międzyczasie.

Film nie wyróżnia się niczym specjalnym od innych produkowanych wtedy, uważany jest jednak za dobry i spotyka się z powodzeniem. Griffith otrzymuje już 45 dolarów tygodniowo i rozpoczyna regularną pracę jako reżyser.

(W pierwszym okresie swojej działalności, w latach 1908 — 1914, wyprodukował przeszło 600 filmów — przeciętnie dwa na tydzień).

Pierwszym jego „wynalazkiem” jest stałe odbywanie prób przed właściwym nakręcaniem każdej sceny — procedura nieznaną w owym czasie.<sup>3)</sup>

Wkrótce potem decyduje się ruszyć kamerą z jej poświęconego dotychczasową tradycją miejsca „widza w teatrze” i dać postaci aktorów ujętą z bliska. Następnym konsekwentnym krokiem było pełne zbliżenie. Dziś wydaje się to nam naturalne — wówczas było niezwykle śmiało, stanowiło rewolucyjne ujęcie wywołujące sprzeciw wśród współpracowników. (Ukazał tylko głowę? Poruszając się samodzielnie „odcignię” od ciała? To przecież wbrew zasadom, coż na to powie publiczność?)

Zbliżenie aktora do kamery spowodowało, że oko kamery nie ujmowało już całości dekoracji i sceny — a więc powstała konieczność przerywania zdjęć i zmiany pozycji kamery w czasie grania jednej sceny — rzecz nieznaną dotychczas. Dotąd każda pojedyncza scena — tak jak w teatrze — była grana całkowicie bez przerwy, stanowiła jedną całość. Teraz stanowi połączenie nakręconych oddzielnie poszczególnych jej części — są one jednak w dalszym ciągu łączone „mechanicznie” w ich naturalnym porządku.

I oto, podczas pracy nad adaptacją filmową Tennysona „Enoch Arden”, Griffith decyduje się zerwać z jednością miejsca i wykończaniem każdej sceny przed przejściem do następnej. Daje zbliżenie bohaterki i natychmiast potem wmontowuje obraz przedstawiający podmiot jej myśli — obraz jej męża gdzieś na dalekiej wyspie. I znów wśród pracowników pojawiają się słowa ostrej krytyki.

— „Jak można tak przeskakiwać? To tylko rozprasza, ludzie nie będą w dzieli o co chodzi!”

Griffith odpowiedział zapytaniem:

— „Czy Dickens nie tworzył w ten sposób?”

— „Tak, ale literatura jest czymś innym”.

„Nie tak bardzo. Tu opowiadanie jest wyrażone obrazami, tylko tyle”

Z nieomylną intuicją wyczuł, że rodzajem pokrewnym filmowi jest nie teatr ale właśnie powieść.

Ten moment stanowił kamień milowy w rozwoju sztuki filmowej i nowoczesnego montażu jako środka ekspresji. Wbrew przewidywaniom obraz był przyjęty z zapałem, publiczność rozumiała akcję. Griffith udowodnił, że podstawą filmu jest nie scena, ale pojedyncze ujęcie.

Prowadzi pracę dalej. Eksperymentuje nad oświetleniem. Zwraca uwagę na obsadę i stara się osiągnąć najlep-

2) Czyli: czas wyświetlania wynosił ca 11 min. (16 zdjęć na sek.).

### ZASADY

Montaż znajduje swoją podstawę w naturalnym spostrzeganiu. Gdy patrzymy na jakiś obiekt spostrzegamy jego fragmenty, przenosimy wzrok z miejsca na miejsce (co zresztą dzieje się i w tej chwili — czytający nie obejmuje wzrokiem całego wiersza ale chwytając słowo po słowie) by przez proces psychiczny zsyntetyzować poszczególne obrazy i połączyć je w jedną całość. Podobnie i oko kamery chwytając pojedyncze obrazy — montaż je łączy. Nadaje to nowoczesnemu filmowi prawdziwość i bezpośredniość naturalnego spojrzenia. Zadaniem realizatora jest przeprowadzenie selekcji — wybranie elementów najbardziej istotnych, o największej ekspresji. (Ta selekcja nie ustaje i na stole w laboratorium, gdzie realizator decyduje nie tylko jak połączyć posiadany materiał ale również co odrzucić).

Czas wyświetlania poszczególnych zdjęć dyktuje tempo akcji. I tu znów można przeprowadzić analogię. Nasze postrzeganie w momencie zdenerwowania — powiedzmy szturmuвання do tramwaju o 4 po południu — składa się z krótkich, ulamkowych spojrzeń, jest daleko szybsze od obserwacji robionej w warunkach normalnych — np. leniwego wędzenia okiem na plaży. Nasza dusza naturę realizator w momentach o silnym napięciu daje szybką zmianę obrazów. Postępuje tak również, gdy celem jego jest wywołanie napięcia. Krótkie ocinki stwarzają podniecenie, długie odprężenie. Powtarzające się okresowe pojawianie się obrazów o określonym okresie trwania bądź określonym temacie powoduje powstanie rytmu filmu. Jest on charakterystyczną cechą dobrego montażu.

\*\*

Wprawdzie (tak jak sztuka teatralna) film ograniczony jest czasem trwania seansu — ale tak jak powieść ma całkowitą dowolność przeniesienia akcji w czasie i przestrzeni.

Na ekranie spotykamy dwa rodzaje ruchu: jeden — gdy przedmiot porusza się przed kamerą i drugi — zmiana samych obrazów. Radziecki teoretyk filmu Kuleszow ujął zagadnienie ruchu w filmie w krótkim zdaniu: „ruch obrazów jest ważniejszy od ruchu w obrazie”. Pudowkin w „Technice filmu” pisał zdecydowanie:

„Twierdzą, że każdy przedmiot sfotografowany z określonego punktu widzenia i pokazany widzom na ekranie jest martwy nawet jeżeli porusza się przed kamerą. Jego ruch przed kamerą nie jest jeszcze ruchem na ekranie, jest niczem więcej jak surowcem dla tworzenia, przez montaż, ruchu który wynika ze zgromadzenia różnych odcinków filmu. Jedynie gdy przedmiot może być umieszczony wśród innych, jedynie jeżeli jest pokazany jako część syntezy różnych oddzielnych wyobrażeń, jest obdarzony życiem filmowym”.

Zagadnienie ruchu obrazów to — innymi słowy — zagadnienie montażu. Spróbujmy określić montaż jako zestawienie pojedynczych obrazów i ich grup za pomocą którego realizator stara się osiągnąć zamierzony efekt. Przyjmując, że montaż oparty jest na następstwie i kojarzeniu trzeba stwierdzić, że zasadniczo zmiana, przeniesienie w czasie czy przestrzeni powinno się pojawić wtedy, gdy widziany obraz pobudzi wyobraźnię, wywoła skojarzenie i powstaną zainteresowania akcją dziejącą się obok. Zadaniem realizatora jest jednak nie tylko zaspakajanie powstałego zainteresowania ale — przede wszystkim — przez odpowiedni dobór, kierowanie wyobraźnią widza.

Dla montażu artystycznego, który publicznosci poddaje jedynie zasadnicze elementy podstawą jest wyobraźnia widza i dopełnienie przez nią brakujących ogniw. Montaż nie tylko jest czynnikiem stwarzającym napięcie momentu, budującym atmosferę całości filmu ale, poprzez skojarzenie, ma powodować odniesienie przez widza pełnych (dokonczenie na str. 10-tej)

szczy aktorów placąc — olbrzymie wówczas sumy — 10 dolarów a potem nawet 20 za jeden dzień.

Doskonali montaż, aż wreszcie tworzy „The Lonely Villa” — obraz w którym dramatyzacja akcji uzyskuje nowy wyraz. Na dom w którym znajduje się żona z dziećmi napadają bandyci. Chcąc ratować rodzinę mąż spieszy do domu. Griffith stwarza stopniowy wzrost napięcia przez wmontowywanie w coraz mniejszych odstępach czasu coraz krótszych fragmentów obrazów ukazujących naprzemian sytuację w domu i męża spieszącego na pomoc. Wprowadza element rytmu w montażu, zrywa z panującą dotychczas zasadą, że czas zdjęcia winien odpowiadać rzeczywistemu okresowi przebiegu pokazywanej czynności — skraca lub przedłuża epizod stosownie do zamierzonego efektu. Stosuje czas i rytm jako środek ekspresji.

Wszystko to dzieje się w przeciągu dwóch lat. W 1910 tworzy „The Thread of Destiny” w którym fotografuje nie nie znaczące elementy dekoracji. Łączy i pokazuje, że nie przedstawiające akcji i nie nie znaczące w oderwaniu zdjęcia nie są — tak jak uważano dotychczas — czynsz martwym, jakimś od padkiem produkcji, ale umiejętnie połączone posiadają samodzielny wyraz. (To właśnie jest dziś jedną z podstaw filmu dokumentarnego, filmu w którym — w odróżnieniu od fabularnego — akcja często nie jest elementem głównym).

Griffith jest również jednym z pierwszych twórców wielkich filmów opartych na tematyce historycznej, społecznej i religijnej. Nie były one przypadkiem — Griffith świadomie zwrócił się ku tej tematyce „Narodziny narodu”<sup>4)</sup> i „Intolerance” były wynikiem jego pięcioletniej wytężonej pracy filmowej.

Nowym rysem w „Narodzinach narodu” (zrealizowanych w 1915 r.) było konsekwentne, pełne użycie rytmu w montażu. W „Intolerance” (1916 r.) Griffith generalnie zrywa już nie tylko z jednością miejsca ale i czasu dając naprzemian montowanymi odcinkami równoległe prowadzenie czterech akcji odległych zarówno w czasie jak i przestrzeni (epizod z dziejów Babilonu, dziejów Chrystusa, masakra w dniu św. Bartłomieja i wreszcie epizod dziejący się współcześnie Griffithowi).

Charakterystycznym dla nowoczesnych środków ekspresji Griffitha jest fragment w którym kobieta dowiaduje się o wyroku śmierci na jej (niewinnego) męża. Widzimy jej pełną tragizm twarz a potem tylko ręce z zaciska jącymi się kurezowo palcami — cała postać nie jest pokazana. Podobnie charakterystyczna jest, w jego następnym filmie „Broken Blossoms”, scena bicia dziewczyny rozwiązana tak, że bita dziewczyna nie występuje.

Twórczość filmowa Hollywoodu jest w tej chwili zaprzeczeniem tradycji Griffitha — jaskrawym nawet przez to, że montaż został potraktowany, jako ściśle techniczny etap produkcji.

3) Owcześni realizatorzy uważali, że wystarczy udzielanie wskazówek aktorom podczas grania każdej sceny, nie było wówczas mikrofonów, które chwytalyby każdy dźwięk. — Patrz „Milczenie jest złotem” Rene Claira w którym odtworzona jest atmosfera pracy reżysera z owego okresu.

4) Specyficzne światło na rozwój przemysłu filmowego rzucił fakt, że choć wprawdzie Griffith przed przystąpieniem do „Narodzin narodu” zarabiał już 1000 dolarów tygodniowo to suma 100.000 dolarów, którą kosztował ten film uważana była za bajkową. W liście pisanym do Goldwyna W. De Mille wyrażał poważne wątpliwości czy kiedykolwiek zwróci się ona — nawet przy powodzeniu filmu.



wrażeni, samodzielne uzupełnienie wizji plastycznej. W jednym z bardziej dramatycznych momentów w „Wilczych dołach” gdy brat bratu obcina siekierą nogę samego momentu obcięcia nie widzimy. Ale pokazanie następujących po sobie zdjęć nogi i opadającej siekierki wystarcza aby wywołać w psychice widza obraz obrabiania. Sytuację i jej rozwiązanie sugeruje zestawienie. Charakterystycznym przykładem jest również w „Opowieści o prawdziwym czło-wieku” ukazanie po obrazie czolgajacego Mieresiewa fotografii jedynie śladów, które przynajmniej, że są pozostawione przez niego (ujęcie trafne i pełne ekspresji).

Kuleszow przeprowadził szereg eksperymentów. Jednym z dwóch najbardziej znanych jest sfotografowanie oczu, rąk, nóg itp., kilku kobiet i połączenie tych zdjęć — w efekcie dało ono wrażenie jednej osoby. Podczas drugiego sfotografował on spotkanie dwóch osób na tle różnych miejsc — postać pierwszej na tle jednego, postać drugiej gdzieś indziej, ich spotkanie na tle trzeciego itp. — montaż połączył te zdjęcia w niestwierdzający w rzeczywistości fragment miasta (Kuleszow nazwał to „twórczą geografiją”).

Odniesione wrażenie jest zależne również od porządku w jakim następują obrazy. Pudowkin podaje (klasyczny już dzisiaj) przykład: trzy zdjęcia — twarzą uśmiechniętej, rewolweru i twarzą przerażonej — dają wrażenie tchórzka; odwrócenie ich kolejności stwarza wrażenie odwagi.

Fakt, że realizator przeprowadza (i musi chociażby ze względu na ograniczenie czasu trwania filmu) selekcję zdjęć decyduje o subiektywności ujęcia. Oko kamery jest nie okiem publiczności lecz okiem jednego człowieka, twórcy filmu, okiem reżysera. Po-szczególne obrazy, a potem ich zestawienie jest tworzone przez pryzmat indywidualności realizatora, która zostaje narzucona widzowi. (Pudowkin okre-sła to mówiąc: „Montaż jest językiem reżysera... jedynie przez metody monta-żu można osądzić jego indywidualność”).

Właściwości montażu pozwalają nie tylko na uzyskiwanie wyrazu artystycznego przez interpretację rzeczywistości ale również pozwalają na efekty trudne lub wręcz niemożliwe do osiągnięcia w naturze. Spotykamy je już u Griffitha. W „Intolerance” człowiek spada jący z murów Babilonu pokazany jest w dwóch zdjęciach. Pierwsze (z dużej odległości) pokazuje mur miasta i spa-dającą sylwetkę (jest to prawdopodobnie lalka), drugie (w zbliżeniu) oddaje sam moment upadku. Montaż obydwu nasuwa, że w drugim zdjęciu widzimy śmierć tego samego człowieka, który upadł z pełnej wysokości muru. Tymczasem aktor zapewne skakał z wysokości kilku metrów z poza zasięgu kamery. W innym wypadku Griffith chcąc zwiększyć grozę sytuacji, gdy aktorka płynąc na krze zbliżała się do wodospadu, ukazał jej fotografię dokonaną z prądem rzeki (a więc ukazującą tylko „od tyłu” próg prawdziwego wodospadu) i następnie połączył je ze zdjęciem „od czoła” wodospadu Niagary. W ten sposób przez montaż realizator stwarza odrębny, nie istniejący świat filmowy, rzeczywistość artystyczną.

Powracając do początkowego określenia można stwierdzić, że pojedynczy obraz jest dla reżysera częścią, która (poprzez selekcję) w sposób jedyny i najbardziej właściwy reprezentuje zasadniczy temat, jest jego ułamkowym przedstawieniem. Zamierzonym zaś przez realizatora (i uzyskiwanym poprzez zestawienie obrazów) „efektem” jest obudzenie pełnego wyobrażenia tematu w psychice widza.

Dochodzimy do definicji Eisensteina która brzmi:

„Cząstka A (wyprowadzona z elementów rozwijanego tematu) i cząstka B (wyprowadzona z tego samego źródła) w zestawieniu tworzą wyobrażenie w

którym przedmiot tematu jest wyrażony najjaśniejszemu”.

Albo:

„Przedstawienie A i przedstawienie B muszą być tak wybrane i tak wyposażone w takie wybrane cechy (ze wsty- skich możliwych, które zawiera rozwija- ny temat) że ich zestawienie — to jest, zestawienie tych właśnie elemen- tów a nie innych, — obudzi w percep- cji i uczuciach widza najbardziej komple- tne wyobrażenie samego tematu”.

\*\*

Pudowkin w „Technice filmu” omawia formy montażu i przeprowadza po- dział. Najprostszą jest formą przedsta- wiającą akcję widzianą okiem uważ- nego obserwatora, ogniwem następuje po- ogniwem w ich logicznym następstwie. Bardziej skomplikowane jest przedsta- wienie akcji równoległe — zarówno w czasie jak i przestrzeni (Tę formę roz- winał Griffith w „Intolerance”). Pro- wadzając podział dalej można wymienić:

— kontrast — (często używany przez Vergano w „Słońce wschodzi” przy przeciwstawieniu akcji dziającej się w pałacu akcji wśród mieszkańców fol- warku i partyzantów)

— paralelizm (np. w „Wielkich na- dziejach” paralelizm natury i akcji — burza w momencie pojawienia się ga- lernika w Londynie i przeżycia przez Pipa wielkiego wstrząsu. W „Spotka- niu na Łabie” montaż naprzemian roz- mowy Hilla z Kuźminem i dwóch sier- żantów),

— równoczesność (jak w cytowanym już filmie Griffitha „The Lonely Vil- la, czy w „Rzymie, mieście otwartym” początkowy moment obławy, gdy kró- kie odcinki ukazują co się jednocześnie dzieje w domu i na ulicy).

Do specjalnych efektów montażu na- leży użycie obrazów symbolicznych (w „Renegacie” przed ukazaniem marszu tłum robotników na fabrykę, wmonto- wanie zdjęcia rwącego strumienia i sterzących w poprzek drogi, zagradza- jących ją, pali). Należy do nich rów- nież powtarzanie obrazów dla podkre- szenia ich wymowy i rytmu (Nogi ma- szeryujących Niemców w „Gdzieś w Europie”).

Nadmienić tu jeszcze trzeba, że dla uzyskania odmiennego efektu realiza- torzy stosują różne sposoby przejścia od jednego zdjęcia do drugiego. Wśród najczęściej spotykanych najprostszym jest przejście bezpośrednie. Warunkiem jego użycia jest wyraźna łączność po- między zdjęciami — w przeciwnym wy- padku, gdy widz nie jest przygotowany na obraz, który widzi, przeżywa wstrząs (w wyjątkowych wypadkach to właśnie może być zamierzonym efek- tem). Przez użycie stopniowego zani- kania obrazu (względnie odwrotnie) uzyskuje się podkreślenie odległości w czasie lub przestrzeni, zwolnienie tem- pa i odprężenie. Podobny efekt wywie- ra wzajemne przenikanie się obrazów.

\*\*

Podane tu zasady odnoszące się do montażu obrazów mają również pełne zastosowanie do montażu samego dźwięku (słowo, muzyka, efekty aku- styczne) i połączenia obrazu z dźwię- kiem. Z jednym zastrzeżeniem — re- cepcja wrażeń wzrokowych jest dale- ko szybsza niż wrażeń słuchowych. Dlatego też przy szybkim montażu kil- ku obrazom musi odpowiadać jeden, ten sam dźwięk. Szybkie zmiany są tu nie do przyjęcia. Największe opory eta- wia słowo. Dialog przez swój realizm przedstawia rzeczywisty czas, nie daje się zrównać z filmowym życiem wizu- alnego wyobrażenia. Powoduje to zresz- tą nagminną wadę obecnej produk- cji w której nadmiar słowa i nacisk na słowo uniemożliwia należyte opra- cowanie plastyczne większości filmów. Jednocześnie realizator musi pamiętać, że wrażenia słuchowe absorbując uwa- gę widza ograniczają zdolność recepcji wrażeń wzrokowych (i vice versa) — musi więc dbać o należyte zharmonio- zowanie poszczególnych elementów.)

\*\*

Warto tu może wspomnieć margine- sowo i o najprostszymi ujemnych kon-

sekwencjach montażu. Szerokie jego użycie w nowoczesnej produkcji filmo- wej powoduje poważne komplikacje i znacznie podraża koszty. Każde usta- wienie kamery wymaga szeregu zmian (zmiana światła itp). A pojedynczych zdjęć w obecnych filmach bywa po kilkaset. (Np. w „Antoni i Antonina” ca 600). Z drugiej strony blaha akcja i dialog wspomagane są niejednokrot- nie dla podtrzymania zainteresowania widza nieistotnym cięciem, które, po- kazując fragmenty garderoby aktora czy aktorki itp. nie wnoszą nic nowe- go do filmu — ale przez ciągłą zmianę zatrzymują oko widza i jego uwagę (cecha wielu filmów amerykańskich<sup>6</sup>). Film staje się — zbyt już nieraz — fragmentaryczny, nuży widza. Nowe rozwiązania przynoszą filmy fotografo- wane kamerą o dużej głębi ostrości („Obywatel Kane” czy „Hamlet”), któ- ra pozwala na objęcie akcji dziającej się na dużej przestrzeni (niekiedy ze zdjęć „Hamleta” ukazują aktorów w odległości ca 45 m.) i poważne zmnie- szenie ilości zdjęć.

#### PRZYKŁADY

Na zakończenie, jako materiał por-ównawczy, dwa przykłady.

Pierwsza scena filmu „Życie Karola Peace” (1905 r. realizator Walter Hag- gar):

<sup>5</sup> Dalsze szczegóły w Nr. 6 i 8 „Dziś i Jutro”.

<sup>6</sup> Tłumaczy się to częściowo przez fakt, że w Ameryce reżyser nie czuwa nad całością, nie istnieje on jako twórca filmu w naszym pojęciu — kieruje jedynie tylko samym nakręcaniem. O doborze artystów, scenariuszu, ogólnej linii, decyduje producent. Montaż prze- prowadzi „editor”. To rozbieżność kom- petencji (obok komercjalizacji) ma nie- wątpliwie swój ujemny wpływ.

Wnętrze pokoju: Peace i jego współ- nik wchodzi przez okno i starają się otworzyć kufer. Podeszły tego mieszka- cy domu wchodzi do pokoju i zaska- kują ich. Peace ucieka przez okno. Je- go współnik stara się pójść w jego śla- dy, lecz zostaje postrzelony i pada na podłogę pokoju.

Cała scena fotografowana jest bez przerwy, stanowi jedno zdjęcie — jed- ność miejsca i czasu zachowana w peł- ni. — Kamera ustawiona jest w pozyc- ji „widza w teatrze”, zawsze frontem, tak, aby zasięg jej obejmował całość dekoracji. Parusze aktorów tylko poprzeczne — z lewej do prawej lub odwrotnie (ruchów do lub od kamery nie ma).

Szkic początku „gdzieś w Euro- pie”<sup>7</sup>.

Panorama (z samolotu). Pastuszek pasący kozy. Wieś, nalot, chłopiec bie- gnąc do domu, burzenie domu (szereg zdjęć). Nogi Niemców (werbel). Pociąg, naprzemian w zbliżeniu kolo-wagon, kolo-wagon (coraz szybciej). Okno wa- gonu otwiera się, chłopiec wyskakuje. Zdjęcie cienia odjeżdżającego pociągu. Chłopiec zakłada okulary. Nogi Niem- ców (werbel). Rozstrzelanie: Niemcy podnoszą lufy, zdjęcie rozstrzelani- wych, zdjęcie walących się ciał, małej dziewczynki wołającej „tato”. Nogi Niemców (werbel). Ulica podczas nalo- tu (syrena), biegnie mały chłopiec, chroni się w lunaparku, szereg zdjęć z figurami woskowymi itp. Gruzy do- mu poprawczego, spod których wydo- stają się dwaj chłopcy. Zdjęcie szcu- rów uciekających po splekanej, suchej ziemi. Dwaj chłopcy idą dalej. Trzej

<sup>7</sup> Z zastrzeżeniem nieścisłości — cy- tuje na podstawie własnych notatek.

chłopcy na drodze, spotkanie z czwar- tym. Zdjęcie kilku idących nóg. Ci sami na innej drodze (zdjęcie panora- miczne), spotkanie z drugą grupą. Zdję- cie wielu nóg, droga w zamieci, zdjęcie nóg na spieczonej ziemi. Epizod ze zna- leżeniem woły, spotkaniem nowej grupy, walka o chleb (moment b. szyb- kiego montażu). Bezpośrednio z walki o chleb przejście do zdjęcia gromady nóg idących po piasku. Dalej następu- je epizod z wściełkami (ściągnięcie jed- nemu z nich butów), napad na samo- chód itp.

W podanych dwóch fragmentach u- derza skomplikowana kompozycja dru- giego i różnorodność ujęć. Można w nim znaleźć wiele omawianych tu cech: rytm zarówno części fragmentu (coraz szybszy montaż kolo-wagon) jak i ca- łości akcentowany przez powracające zdjęcia nóg Niemców, a potem nóg chłopców (połączony z równoległymi efektami dźwiękowymi powracającego motywu werbla i tych samych, powra- cających motywów w muzyce), symbo- lizm (zdjęcia nóg, zdjęcie uciekających szcurek), narastanie napięcia poprzez zwarty montaż pierwszych czterech epizodów (również stwarzanie napięcia w samych epizodach — typowe w epi- zodzie z wagonem). Charakterystyczne długie zdjęcie spokojnej panoramy i pasącego pastuszka — i szybkie zdję- cia podczas bombardowania, kontrasto- we przejście od zgiełku bitwy o chleb do nóg, wolno, z trudem idących po piasku itp.

#### LESZCZ.

P. S. Ten szkic nie wyczerpuje oczy- wiście zagadnienia. Jest tylko wpro- wadzeniem, które ma zorientować (cier- pliwego) czytelnika w wycinku proble- matyki filmowej.

## Puszkina a romantyzm

(d. c. ze str. 5-tej)

ta począwszy, na romantykach fran- cuskich i polskich kończąc: jak pod wpływem najrozmaitszych bodźców człowiek całkowicie może się zmienić, jak w nim „umięra” jeden typ psy- chologiczny, a „rodzi się” drugi. By- ło to wielkim wydarzeniem w litera- turze rosyjskiej i wielką kreacją ar- tystyczną była postać bohaterki, owej wzniosłej Marii, od której promie- niało dostojeństwo moralne, a która miała imię kobiety kochanej. Nowo- ścią romantyczną był koloryt poematu, jego wschodni przepych, wpro- wadzona weń melodia pieśni oriental- nych, motyw miłości hurerek, motyw bojów rycerskich. Powstało wielkie dzieło romantycznej sztuki rosyjskiej.

Jednakże byroński pesymizm i po- za byrońska jęty męczyć i męczyć jęta doznawana często pustka we- wnętrza. Przyszło domagające się odpowiedzi pytanie — jaki jest sens życia. Indywidualista wzgardliwie na świat patrzący, a poszukujący prze- de wszystkim siebie samego, próbuj-ący rozszyfrować własną treść psy- chiczną, żądny niezwykłości, żądny wyższości się ale i użycia, tęskniący za coraz silniejszymi i coraz bardziej upajającymi wrażeniami, uprzytomnił sobie któreś chwili niewystarczalność takiego życia, a w konsekwencji za- pragnął zrzucić z siebie „sztuczne maski, farbowany fałsz”, a więc po- zę wzgardliwą i egotyzm pochodzący z braku zmysłu społecznego i z lek- ceważenia praw regulujących stosu- nek człowieka do człowieka. Uprzy- krzyły się motywy niektóre roman- tyki, czego dowodem jest niedbałość wykończenia utworu o szlachetnym zbrojcy („Bracia rozbójnicy”, 1823), choć właśnie ta postać wróci w dal- szej twórczości i to w całym splen- dorze w opowieści o Dubrowskim. Atoli potępieniu romantycznego „mal- du sieć” i próbie przełamania go- dał poeta artystyczny wyraz w poe- macie „Cyganie” (1827). Za sprawą

tego to poematu dokonał chciał Puszkina aktu „katharsis”, oczyszcze- nia z kultu romantycznej słabości i egotyzmu, potępiając w bohaterze utworu te właśnie cechy; atoli tu apoteozował romantyczną koncepcję miłości, że wierność tak długo obo- wiązuje, jak długo miłość w sercu gorzeje. Czyż miłość nie jest zatem sprawdzianem wartości życia? Myśl niedwuznacznie tu wypowiedzianą, powtórzył z akcentem humoru w po- wiastce wierszem „Hrabia Nullin”, a stwierdził boleśnie raz jeszcze w „Eugeniuszu Onieginie”. Tak ponad wszelkimi zagadnieniami życia stawał teraz Puszkina zdecydowanie miłość, a takie postawienie sprawy i takie stwierdzenie zamykało drugi etap w historii jego romantyzmu.

Po okresie stylizowania poetyckich obrazów zgodnie z postulatami poe- tyki romantycznej, jał poeta pre- stawić swoje koncepcje artystyczne na nowe tory. Obojętniało zwolna ro- mantyczne żądania stylizacji życia wedle pewnego mniej więcej ustalo- nego szablonu. Obok stylu fantastycz- nego i idealistycznego, które nieraz łącznie w jednym dziele występowa- ły, pojawił się już w „Hrabim Nullin- ie” jako trzeci — styl karykatural- ny, ironizujący, raz jeszcze tryumfy święcący w „Domku w Kołomnie”.

Ale tu z romantycznego ironizowa- nia przechodził Puszkina stanowczo na tony realistycznej karykatury. Dąże- nie do realistycznego odtwarzania ży- cia rozstrzygnęło także o ostatecz- nym charakterze głównego poematu Puszkina, przez lat bezmała 15 pisa- nego i rozlicznym ulegającego mo- dyfikacjom, mianowicie „Eugeniusza Oniegina”, będącego świetnym stu- dium psychiki rosyjskiej. Tutaj po- kazał poeta dwa typy romantyzmu rosyjskiego. Piękna, dobra, mądra i szlachetna Tatiana, jedna z najpięk- niejszych postaci kobiecych w litera- turze rosyjskiej i entuzjasta szla-

chetny a głęboko życie pojmujący Leński są reprezentantami tego, co w romantyzmie było piękne i wznio- słe, a mianowicie wiary w życie szla- chetne, poezji, uczciwości, czystości moralnej i miłości wszystko ogarnia- jącej i wszystko przebaczyć zdolnej. Tu stwierdził Puszkina raz jeszcze ro- mantyczną — a może nietylko ro- mantyczną — prawdę, że szczęście człowieka i całe jego życie etyczne zależy od miłości, że miłość jest bo- daj czy nie najważniejszym elemen- tem życia, że ona nim rządzi, a jeżeli jest to miłość odwajemniiona, rzuca wtedy w duszę ludzką promienie wiary w sens życia. To wykazał Pus- kina losem trojga bohaterów głów- nych, Oniegina, Tatiany i Leńskiego. Bowiem życiem rozczarowany Onie- gin pojął również, że tak jest, ale po- jął to za późno. I Oniegin jest ro- mantykiem, jak tamtych dwoje. Ale jego romantyzm jest tym, co jedni nazwali „hyperromantyzmem”, drudzy zaś „chorobą wieku”, a co w istocie jest wyrazem zaniku woli i wyrazem straszliwej apatii życiowej. Zauważony życiem, zmęczony sobą, kierujący się wyłącznie kapryсами, nieszczęśliwy historyk, męczący siebie i drugich, niezadowolony z siebie, czuje żal do świata, że nie okazał mu serca współ- czującego wtedy, gdy on faktycznie postępowaniem swoim zraża wszyst- kich do siebie; dlatego biedny jest Eugeniusz Oniegin, tamiący szczęście i życie własne i szczęście i życie naj- droższych mu ludzi. O nim to powie- dzieć można to samo, co Krasinski powiedział o hrabim Henryku „spłatasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek, igraszką palców twoich, lzy wycis- kasz — suszysz je usnąćchem i na- nowo uśmiech strącasz z ust na chwile, — na chwil kilka, — czasem na wieki”. I do niego to, jak do Henry- ka można zastosować słowa o życiu nikczemnym i zwodniczym, i słowa, że udać potrafi anioła chwilę, zanim

(dokończenie na str. 12-tej)



(Dokończenie ze str. 3)

jąc coraz dokuczliwiej, niby marcową śnieżycą.

Jej ofiarą padali, rzecz jasna, najbliżsi, a więc mąż, a specjalnie służba. Toteż rzadkością był pastuch czy dziewczka, którzy by zdołali tu wytrzymać od Gód do Gód. Zwykle bowiem nieszczęśnik, którego Pan Bóg pokarał ową doskonałą namiastką piekła, uciekał zaraz po pierwszym zetknięciu się z twardą łapą Kulowej. Czasem tylko ktoś wyjątkowo odporny czy bezwolny wytrzymał niewolniczo dłużej. Nigdy przecież wyżej kwartału. Dawało to powód miejscowym złośliwcom do przesmiechów, że Kulowa częściej zmienia służbę niż bieliznę.

Drugą nie ulegającą jakimkolwiek wpływom czasu i postępu właściwością Kulowej był sposób gotowania. Rano żur, w południe kapusta i ziemniaki, na kolację braja. Niezmiennie jak z recepty — dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Z wyjątkiem dużych świąt, kiedy to na stole zjawiał się kołacz, kawa i jakiś kawałek ścierwa.

Najmniej kosztowny był żur. Sporządzony z owsa stanowił według kategoriicznych zapewnień Kulowej potrawę o rzadko spotykanej sile odżywczej. Tym samym więc omasty nie potrzebował. Do kolacyjnej kaszy (kasza, mawiała Kulowa, potrawa lekka i dobrze się po niej śpi) ostatecznie ta ociupina mleka oczywiście solidnie wyzbieranego zawsze się znaleźć musiała. Gorzej z obiadem, a więc kapustą, której bez tłuszczu gotować nie sposób. Od czegoś jednak bystra głowa skapicy. Wymyśliła sposób taki: wiązała do węzła kawałek bardzo starego, a więc bardzo śmierdzącego sadła i trzymając to na sznurku zanurzała w gotującej się potrawie na kilka minut. Aż ciecz nabrała specyficznego zapachu, a na powierzchni ukazało się jakieś oczko, w którym przy odpowiednio wysokim zapasie dobrej woli można było domyśleć się tłuszczu.

Taki węzełek starczył na długo — dwa, trzy tygodnie. I tak sumienie gospodni było spokojne — no bo przecież maściła, a w komorze nie ubywało. Przepraszam ubywało, bo Kulowa skapiąc wszystkim obżerała się sama za wszystkich. Ale to już inna sprawa. Po to jest się gospodynią na trzydziestu morgach tłustej ziemi, aby choć samej tłusto zjeść.

Gospodarstw podobnie skonstruowanych, gdzie nawet w małżeństwie, nie mówiąc już o rodzinie, istniały formy wyzysku, nieraz bardzo ostrego i bezwzględnie, było w Dolinie sporo. Nie wszystkie oczywiście miały po trzydziestu morgów, ale przecież w tym wypadku nie tyle ilość morgów ważna była, ile sposób życia. I zdarzało się niejednokrotnie, że paromorgowy średniak żył o wiele bardziej po ludzku niż gruby kmięć. Ten bowiem skapiąc sobie i drugim używał jedynie na piekielnej harówce, będąc niczym innym, jak tylko ponurym niewolnikiem własnej ziemi, która pożerała wszystkie jego uczucia i pojęcia, wszystkie siły fizyczne i psychiczne — a w końcu i jego samego. Ci ludzie poza mizernymi uciechami płciowymi, pycha posia-

dania i widokiem osiągniętych elementów majątkowych żadnej radości nie znali i nie pragnęli, ubożsi duchem niekiedy od ostatniego żebraka, utknąwszy zaraz po wejściu w życie w zaczarowanym kręgu pojęcia „mieć” — mieć dużo, jak najwięcej i jak najprędzej.

Owo pojęcie najdrapieżniejsze z istniejących na świecie, najbardziej bezwzględne, nigdy nie syte i zawsze agresywne przekraczało gdzie tylko mogło wykreślone prawem granice. Toteż w Dolinie mimo pozornego spokoju kipiła wciąż jak w ulu. Na drodze od serca do serca wyrastały bezustannie barykady w postaci miedz, zaroranych skib i poplątanych granic owej jakże iluzorycznej suwerenności indywidualnej.

Świat trzeszczał w posadach, waliły się ustroje i wyrastały nowe formy bytowania, a tu jak setki lat temu — ziemia i ziemia. „Na barykady, ludu roboczy” śpiewali w niedalekim mieście robotnicy i szli zbrataną jedną myślą ku jednemu celowi. Tu zaś na barykady miedz wychodzili ludzie uzbrojeni w nienawiść, aby walczyć ale nie o chleb i nie o prawa, tylko o nią, o ziemię.

To ona, czasem w postaci metrowego skrawka wyrastała poprzez fałszywe założenia w pojęzyczny mit zdolny przesłonić człowiekowi wszystko, niezadko Boga samego. Albowiem nawet w tej minucie modlitwy rannej, wieczornej, czy niedzielnej, jakże często bywało tak, że wargi szeleściły sieżką pustych słów, a serce i myśli brodziły wciąż w magicznym kręgu ziemi i jej spraw. To ona czasem wąskim pasemkiem jednej skiby dzieliła ród od rodu, człowieka od człowieka całe dziesiątki lat. To o nią toczyły się długie lata i pokolenia wyniszczające procesy, to za nią łamali ludzie świętość przysięgi i własne kości. O nią! I gdyby zesypać nienawiść oraz jej skutki z ziemi, przez ziemię i dla ziemi wyrosła, w jednej tylko gminie, powstałaby góra, wobec której wszelka dobroć w ramach indywidualnego prawa posiadania powstała wyglądałaby jak szczeniak w obliczu słonia.

Widział to wszystko Paweł i nadspodziewanie trafnie sytuację oceniając, bolał nad takim stanem rzeczy mocno. Tym bardziej też cenił swe ubóstwo, zawdzięczając mu spokój i możliwość kultywowania ulubionej nade wszystko kontemplacji. Mógł wtędy w cichych godzinach głębokich zamyśleń analizować otaczające go zjawiska i obmyślać sposoby wprowadzenia wsi na proste wydawało mu się drogi, w których kresu widział życie chłopów syte, dostatnie, dobre i mądre. Na właściwą możliwość takiego układu stosunków i warunków doprowadziła go przeczytana w międzyczasie powieść W. Orkana „W Roztokach”, gdzie właśnie autor w formach kolektywnej gospodarki próbował rozwiązania najcięższych dręczących wieś problemów.

Toteż gdy po wywołaniu zawiął od wschodu ostry wiatr przemian, Paweł, który o Rosji słyszał i czytał bardzo wiele choć bardzo różnie — jakby się ucieszył. Tylko — myślał po cichu — tamten ustroj zdolny będzie wyzwolić chłopów z niewoli ziemi, chciwości i nędzy, tylko on znosząc miedze i gra-

nice oraz podziały na beniaminków i pasierbów powiąże ludzi powszechnie, szeroko i mocno węzłami bezinteresownej przyjaźni. Zdejmując zaś z mentalności chłopskiej przesłaniającą mu wszystko narośl żądz posiadania i dając zwiększone porcje wolnego czasu stworzy przed wsią szerokie perspektywy kulturalnego rozwoju — drogę do pełni praw człowieczych, do życia ułożonego w najwspanialszy deseni mądrej dobroci i piękna.

Rozumowanie takie przychodziło Pawłowi tym łatwiej, że przecież nic nie posiadał. Gorzej z bratem, a jeszcze gorzej z bratową. Nie lepiej zresztą z całą wsią. I gdy się pewnego razu milczącemu zwykle zebrało na gadanie, oczywiście zaraz o tym jakby to dobrze było gdyby tak w Dolinie wspólnotę zaprowadzić — pierwszy brat przeklął go z kośćmi i żegnając się jak w obliczu bełzebuba uciekł w pola.

Trzydzięści morgów — to wiele. To bardzo wiele. To dla wielu cały świat!

Nie rzadko zresztą w takich warunkach i jeden morg stawał się całym światem.

\*\*

Był któryś tam maj trzeciego roku po wojnie. W naturze cicho i pięknie — w Dolinie burza. Nienawiść wyrastająca w ciasnym kotle gromadzkim u styku każdej niemal granicy fermentowała tego dnia wyjątkowo silnie i szumiała rozgłośnie kipiąc w krąg piekącymi bryzgami. Wnet z rana kierownik resztówki Samopomocy Chłopskiej zajął Kuli krowy, które, gdy pasterka wymęczona nocnym praniem usnęła, wlażyły w sam środek bloku nasiennego, niszcząc kawał cennej oziminy. Poleciała Kulowa rozperzona do żywego i zrobiła kierownikowi takie piekło, jakiego jeszcze w życiu nie słyszał. W ciągu godziny wytresowany język złościny latał z szybkością samolotowej śmigły, a biedny rzadca dowiedział się tyle najnieprawdopodobniejszych różności o sobie samym, że rychło żałować zaczął swego kroku. Ba, zmiażdżony argumentami oddał bydło, omal nie przeprosiłszy Kulowej za wyrządzony afront.

Około południa znów świnią Kubickiej weszła do ogrodu Płachtów i zryła świeżo zasadzone grządki. Płachtowa wyganając świnię podrzuciła ją szczytą o tyle za silnie, że ta kwicząc rozpaczliwie wróciła do chlewa na trzech nogach. Raptus Kubicki złapał żarnówkę i poleciał okulać z kolei Płachtową. Ta jednak zdążyła w samą porę uciec do domu i zaryglować drzwi. Z bezpiecznego ukrycia prowadziła z Kubickim ożywioną pogawędkę, której treścią było wzywanie wzajemnych rodowodów i popełnionych w życiu świństw.

Wreszcie pod wieczór rozegrał się tragikomedij akt trzeci z epilogiem. Wykonały go ze stokroć większą precyzją niż poprzednicy, Kurpielka z Łagosiówą. Poszło o miedzę, którą Łagosz orząc wyżej położone pole zasypał ziemią. Zaczęło się normalnie od pyskówki. Ze jednak obydwie wyjątkowo w języku uzdolnione umiały gadać odwalać co najmniej po

tysiąc procent normy, krzycząc przy tym wraz nie mogły się słownie ani przekonać ani pokonać — więc nie dawało im to ani grama satysfakcji. Poparły zatem rozmowę ilustracjami odwrotnej części ciała. Klaniając się wdzięcznie, jak nigdy nikomu po dobrej woli, podnosiły raz po raz spódnicę i pokazywały jak dawno nie myły grzesznego cielska. Ale i ta forma dyskusji nie mogła zadowolić ich wyrafinowanych gustów. Skoczyły więc do siebie z furją iście teutońską i rozpoczęły pogawędkę na serio, argumentując za pomocą nóg i rąk, a przede wszystkim paznokci, które w kobiecym arsenale bojowym stanowią broń jakby urzędową.

Walczyły niezbyt długo, ale za to tak dzielnie, że zaraz twarze obydwóch zamieniły się w okrwawione maski. Wreszcie chwyciły się za włosy i ciągnąc jedna drugą tarzały się po ziemi z zaciekłością prawie nigdy nie występującą u najbardziej nawet wojowniczo usposobionych mężczyzn. Gdy wreszcie nadbiegł ludzkie i z trudem niemałym rozdzielili zracę się babska, w rękach każdej z nich zwiślały pęki kłaków, którymi potrzasały niby zwycięskimi sztandarami.

Działo się to niezbyt daleko od kaplicy, przy której właśnie odprawiało się nabożeństwo majowe. Uczestniczył w nim i Paweł, trochę się modląc, trochę obserwując tamto zajście. Poruszony do żywego coś wazył w sobie i postanawiał. Nim majówka się skończyła, w momencie gdy z pola walki sprowadzono ociekające krwią i wciąż jeszcze pomstujące kobiety — wysunął się na czoło zebranych i głosem donośnym, choć drżącym z najgłębszego wzburzenia, zawołał:

— Boże, proszę Cię najgoręcej, zeslij raz nareszcie tę spółdzielnię, ale jak najprędzej. Aby się ludzie o marną skibkę nie żarli i nie mordowali, aby ziemia przestała być celem, a stała się środkiem, aby człowiek człowiekowi nie był wilkiem, lecz bratem!

Nie wszyscy pojęli sens słów: przestała być celem, a stała się środkiem. Bogacze jednak słyszeli słowo spółdzielnie i Pawłową o nie prośbę. To wystarczyło aby iskra niechęci zamieniła się w płomień. Wieść, że Wyrodek modlił się o spółdzielnię obiegła piorunem całą Dolinę. Bogacze

zawrzeli oburzeniem. Na głowę Pawła posypały się gromy gniewu. Nie tylko słowne. Nim doszedł od kaplicy ku domowi kilkakrotnie śmignęły obok kamienie i tylko dzięki zapadającemu mrokowi udało mu się dotrzeć w osiedle bez szwanku.

Najcięższa burza czekała nań dopiero w domu. Tu bratowa bliska apopleksji, mimo że zdążyła już wylądować pierwszy paroksyzm wściekłości na mężu, objając mu dokładnie gębę — rzuciła się jak tygrys w klitce, czekając powrotu Pawła. Gdy ten wszedł ponury i zawzięty wymachując jakby od niechcenia potężną dranką, którą przezornie wyrwał z płotu słysząc z daleka szalejącą bratówkę — zrezygnowała z bójki. Poleciała zato do komory, gdzie leżały rzeczy Pawła, wyrzuciła je na środek kuchni i krztusząc się nadmiarem bełkotliwych słów chrypiała:

— Wynocha z mojego domu Wyrodku cholerny — ale mi-giem. Stroć mi sie z oczów, już zaroz — pieronem! Ty komunisto przekłety...

Nagła złość szarpnęła Pawłem jak burza dębem. Sprężył się cały do skoku, by nim odejście stłuc babę i podziękować jej za tyle poniewierki, ale jakoś zdążył zawadzić czyms o brata, który siedząc na niskim zydlu zdawał się liczyć kapiące z nosa krople krwi. W mocno spuchniętej twarzy oczy podbite i zażawione wpatrywały się w Pawła z wyrazem szaleńczego wprost przeżalenia. Stęknął rozpaczliwie:

— Daj spokój, bo za wszystko odpokutuję ja...

W tej chwili fala złości jak nagle przyszła tak nagle opadła. Jej miejsce zajął jakiś nagły zew świata. Wołały nigdy nie słyszane syreny fabryczne, wołał śpiew sztolni. Mocny wewnętrzny nakaz, zjawiający się czasami w momentach wielkich decyzji, wychynał skądś i głośno ochryplą bełkot pieniącej się wściekłością baby uciszył zrywającą się w Pawle burzę, kierując zdecydowanie jego dalszymi ruchami. Z dziwnie spokojnym pośpiechem skupiony i uważny pozbiierał to co mu się w tej chwili wydało najbardziej ważne, a potem jakimś niezwykle lekkim krokiem, jakby opadł zeń wielki ciężar, opuścił dom i wieś.

Józef Bieniek

NA ZAMÓWIENIA  
KIEROWANE  
DO  
ADMINISTRACJI  
„DZIS I JUTRO”  
SP. WYD. „PAX”  
WYSYLA POWIEŚĆ

BRUCE MARSHALL  
CHWAŁA CÓRY  
KROLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATE  
ZŁOTYCH 750 za EGZ.  
NA KONTO PKO I-8515  
LUB PRZEKAZEM  
POCZTOWYM



Józef Bieniek

# SPRAWA PAWŁA KULI

Pawła Kulę poznałem przed wojną. Byłem wtedy droźnikiem i „moja” droga wiodła przez „jego” wieś. Mieszkał przy bracie, trzydziestomorgowym bogaczu, którego chciwość zawdzięczał, że nie miał nic. Nie martwił się tym zresztą wcale, gdyż jak twierdził brat pozabawił go nie tyle majątku, ile trosk. Tych zaś Paweł nie znosił, na równi chyba z bratową, kwalifikowaną jędzą, która bardzo starannie i nie mniej umiejętnie obrzydzała mu życie od piętnastu z górą lat.

Zobaczyłem go po raz pierwszy z książką w ręku. Paś piękne konie — przedmiot własnej udręki, dumy brata, a podziwu i zazdrości całej Doliny. Łąka leżała zaraz obok potężnej przymy, przy której siedząc tłukłem kamienie i latałem tyśiączne dziury beznadziejnie — jak własny los — nędznej drogi. Zaciekawiony widokiem parobka z książką, co w tamtych czasach nie było zjawiskiem na zbyt częstym, podszedłem ku niemu. Czytał kiplingowskiego „Kima” i tak się głęboko zapadł w fascynujący urok egzotycznej fabuły, tak mocno urządził w zachwycie wędrując ludnymi drogami Hindustanu przy boku Świętobliwego Lamy, że nie zauważył nawet mojego nadejścia. Dopiero po dłuższej chwili oprzytomniał i aż z nadto widocznym żalem zamykając książkę, bardzo niemrawo i niechętnie, jak człowiek obudzony z rozkosznego snu, odpowiedział na zadane pytanie.

Powoli jednak rozkleił się i wtedy, w długiej, a serdeczniejącej z każdą chwilą pogawędce odsłonił się przede mną obraz człowieka, który jakby przypadkiem tylko zabłądził w chłopską strefę, gdzie twarda i pełna zgrzytów walka nie tyle o byt ile o posiadanie, była motorem wszelkiego działania i gdzie marzenie czyste zakwitało tak rzadko, jak świętojański kwiat paproci.

Miał Paweł nie wiadomo po kim odziedziczoną i jakim cudem tak silnie rozwiniętą mentalność typu szczerze socjalistycznego. Przyrodzoną chyba i szeregiem przypadkowo poznanych dzieł literatury lewicowej do rangi światopoglądu podniesioną. Bo faktem było, że do żadnej organizacji nie należał i polityki unikał równie gorliwie jak kłótni z bratową.

Nie przywiązując najmniejszej wagi do spraw i rzeczy, które w dokolnym świecie wypełniały bez reszty przestrzeń pojęć i uczuć — żył trudnym życiem uwiecznionego w klatce orła, wrac bezustannie to cichym gniewem i chęcią nigdy nie wybuchającego buntu, to szalonymi tęsknotami ku czemu i za czymś, czego nawet nazwać i określić nie umiał. Cichnął jedynie w obliczu piękna przyrody, w której czcił najwyższą doskonałość Stwórcy i nad kartami z trudem tu i ówdzie zdobywanych książek.

Najbardziej charakterystycznym wyrazem tej dziwnej jak na tamte czasy sublimacji poglądów był całkowity u Pawła

zanik pojęcia świętego na wsi prawa własności. Ten przemożny w kręgu spraw chłopskich kompleks nie obciążał Pawła w najmniejszym nawet stopniu. I choć w wyniku takiego stanowiska pozostał Paweł na dnie ustalonej przez wieś hierarchii człowieczeństwa — był przecież w swym ubóstwie niemal szczęśliwy, przypisując wszelkim prawom posiadania większą złą, jakie w stosunkach międzyludzkich istniało, zbierając raz po raz obfite żniwo.

Powiadają — mawiał z goryczą — że piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami. Nie wiem jak jest w rzeczywistości, jedno przecież wiem na pewno, że dziewięćdziesiąt procent cierpiących w nim to właśnie chłopci, którzy dostali się tam za ziemię i przez ziemię.

— Jakże wspaniałym byłby chłopski świat — mawiał innym razem — gdyby rolnik pracował na ziemi jak robotnik w fabryce — nie po to, aby dużo mieć, lecz aby piękniej żyć.

Kiedy indziej znów rozmawiając na tematy religijne powiedział:

— O ileż byłaby krótsza i łatwiejsza droga ku Bogu, gdyby chłop nie opętany żądzą posiadania mógł oderwać oczy od ziemi, a częściej wznieść je ku pięknu nieba i słońca.

Raz zaś wyjątkowo wzburzony potworną bójką między dwoma sąsiadami o zaoraną skibę, krzyknął wyrażając zielonym przestrzeniom:

— Bądź przeklętą ziemi!

Mylił się przecież porwany pasją i niezdolny w gniewie do wnikliwszej analizy problemu. To nie ziemia była tu winna i nawet nie człowiek sam osaczony jej kultem czy głodem — ale ustrój.

Pawła charakteryzowało gorące i raczej podświadome wyczuwalne umiłowanie piękna. On to godzinami całymi potrafił sterczeć nieruchomo i wpatrywać się w rozgwieżdżone niebo, wsluchany w tajemniczy szum wszechświata — rozmyślając zarazem całkiem praktycznie z jakiego to akumulatora czerpią gwiazdy swą moc. Kiedy indziej znów jakaś gra barw, mocniejszy zapach, czy dźwięk nagle zasłyszany wprowadzały go na długą chwilę w stan niemal gorączkowy — budząc jakieś niejasne skojarzenia z rzeczami i sprawami, które zaledwie majączyły słabymi konturami zdobytych po drodze książkę olśniewiając, prowokując gwałtowne zrywy przedziwnych tęsknot i pragnień, powodując wybuchy szarpającego serca niepokoju, niczym nieuzasadnionej zadumy, niczym niewytłumaczonej rozkoszy lub boleści.

Była w nim jakaś dziwna, przysypana grubą warstwą poniewierczej niewiedzy wielkość — coś, co wyrastając w innych warunkach i stosunkach uczyniłoby Pawła sławnym pisarzem czy poetą, a może głośnym muzykiem lub rzeźbiarzem. Tu zaś w twardym ugnioście ciasnej obręczy podłego losu stało się dziwactwem i cię-

żarem, wyrzuconym w bilansie praw gromadzkich na konta pasywów.

Od chwili poznania spotykaliśmy się z Pawłem często, odkrywając w trakcie długich rozmów coraz więcej wspólnych nam cech i mnóstwo identycznych umiowań, co połączyło nas węzłami najserdeczniejszej przyjaźni. Przetrwiała ona wiele prób, pogłębiając się jeszcze w latach wojny, kiedy to ja i on tkwiąc po uszy w robocie podziemnej spotykaliśmy się często w najdziwniejszych okolicznościach — dwaj smutni żołnierze smutnej ojczyzny.

Po wojnie drogi nasze pokrzyżował nakaz losu, a przyjaźń sama zapadła na dłuższą chwilę w chaotyczny gąszcz gwałtownych wydarzeń, walcących się w życie z siłą i szybkością huraganu. Gorączkowe poszukiwanie własnego miejsca w porywczym wirze i nieznannej strukturze dziejących się spraw zastąpiło na pewien czas sentymenty, idee i przyjaźń. W burzliwej ciżbie pędzących zjawisk, w ostrym huk trzeszczącej historii znikali ludzie, tradycje i mity. Znikł też i Paweł. Na długie trzy lata.

Aż nareszcie teraz. Parę dni temu otrzymałem od Pawła list. Taki list, którego napisanie zdarza się człowiekowi raz chyba tylko w życiu. Ile słów — tyle uśmiechów, tyle najserdeczniejszych drgnień, tyle promiennej radości. A źródłem, z którego tryskały one, był awans — przesiadka z parobczańskiej, zacioranej nędzą do znaku dołu na wysoki szczybel, z którego człowiek zdolny był dojrzeć nie tylko swe obowiązki i musy, ale przede wszystkim swe ludzkie możliwości i prawa.

List był z Wałbrzychu i bardzo długi. Donosił w nim Paweł, że nareszcie rok temu, dzięki to takim a takim okolicznościom wydarł się z kręgu stajni i despotycznej bratowej. Pracuje w kopalni węgla. Jest rębaczem. Jeszcze nie rekordzistą, ale już przodownikiem. Wyrabia stale około dwieście procent normy i zarabia bardzo dobrze. Nie to wszakże jest dlań ważne, ale to, że może dać folę swym najgorętszym umiłowaniom, że do skarbcza piękna znalazł nareszcie długo poszukiwany klucz.

— Śpiewam — pisał — w kopalnianym chórze, gram w orkiestrze i uczestniczę we wszelkich spektaklach zakładowej świetlicy. Poza tym łączę namiętnie do teatru i kina, nie omijając zwłaszcza żadnego koncertu. Czyli, że wszystko to — a litery zdawały się błyszczyć samym słońcem — za czym tęskniłem bezwiednie nawet tyle lat, mam dziś bez ograniczeń i chłonę żarłocznie, aby odrobić zaległości.

Biedny Paweł, czyż mógł żyjąc w takich warunkach przypuszczać coś więcej niż to, że umrze w nędzy, jak tyle podobnych jemu, wyrzuconych z siodła żagónów na samą krawędź istnienia, na najbardziej gorzki chleb rodzinnej łaski. Być może, iż rozkołysany książkami umysł Pawła porwał się

na śmielsze przypuszczenia, że marzył o wielkich czynach zdolnych przemienić mały żywot. Może. Ale marzenia chłopskie tamtych czasów miały tę jedną wadę, że... nie lubiały się spełniać. Zwłaszcza marzenia zagrzebanych w mierzwie poniewierki — ludzi biednych i cichych. Jak właśnie Paweł.

\*\*

Z mrocznego wnętrza sieni wynurzył się rozczochrany łeb starszej kobiety i ochryply, podobny raczej do warczenia psa głos wyrzucił gniewny rozkaz:

— Byku żyć!

„Byk” w postaci chuderlawego chłopiąci, układającego w kącie podwórza kupę kompostową, podniósł głowę o twarzy tak pomarszczonej jak cholewa starego buta i nie próbując się obrażać polazł ku domowi. Atoli nie przekroczył jeszcze progu kuchni, gdy znów ostry jak strugnięcie batem głos odrzucił go wstecz.

— Wróc się chromski kurdupłu i zawołaj tamtych.

Umknął jak kopnięty pies, popędzany kaśliwymi docinkami piekającej się baby. Za chwilę wrócił w towarzystwie

dziewczyny o bejdeckiej fizjonomii, krępego mężczyzny z twarzą smutną i mądrą, oraz kilkunastoletniego wyrostka.

Wokół dymiącej miski zasiadła rodzina Kulów. Pierwszy w Dolinie, a ostatni u swej żony bogacz Jan, jego żona, a właściwie komendant tego małego obozu koncentracyjnego, ich synek Zbyszek, służąca i nasz znajomy Paweł.

Kulowa, jedna z najbogatszych bab w okolicy, znaną była szeroko i daleko z trzech rzeczy: skapstwa, niechlujstwa i złości. Tej ostatniej zmagazynowała natura w Kulowej zapasy tak potężne, że normalnie licząc wystarczyć by mogło mniej więcej dla setki bynajmniej nie „barankowo” usposobionych kobiet. Ziejąc jak wulkan bezustanną wściekłością, wypełniała nią każdą szczelinę życia, każdy strzęp działania. Z kuchni, gdzie królowała, jak smród z kloacznego dołu wylewał się od świtu do nocy jej zgrzytliwy głos, syjący przekleństwami i wyzwiskami. I rzecz ciekawa, że złość ta zamiast z biegiem lat słabnąć i wygasać, co byłoby naturalną konsekwencją starości — krzepła i potężniała, szale-

(Dokończenie na str. 4)

KONSTANCJA KUZNICKA

## Powrót

*Czasem pamięć  
wydłuża się lub cofa  
Sięgam wstecz:  
Oflag.*

*Grają druty.  
Pod ich głuchą  
melodię mówię.  
Sluchasz?*

*Gdy tęsknię,  
mówię w przestrzeń.  
Ocalam wtedy świadomość,  
że jesteś.*

*Że mogę swobodnie,  
bez nadzoru wachy  
rozmawiać z Tobą.  
— To wystarczy.*

*Marzę, nie mam  
drugiego koca,  
ani co palić... głupstwo!  
Kochasz??*

*Ustom daj  
słodszą narkotykę.  
Przez sen ciepłem serca  
dotknij!*

*Wczoraj myślałem,  
że po twarzy głaszczesz,  
Ocknąłem się na rogu żołnierskiego  
plaszcza.*

*Po melodii drutów  
myśl ucieka.  
Na dobranoc — krzyżek — jutro  
czekaj!*

*Dlaczego dziś, gdy  
krzyk drutów nie zagłusza  
i ufność swą niosę do Ciebie,  
nie słuchasz?*



Jan Dobraczyński

## STRZAŁY ZA HORYZONTEM 4)

— Jak to wygląda?

— Na drodze stoja dwa jeich auta. Zandarmy wysiadly. Mają maszynki! Na szosie są także esesowcy. — Mówił prędko, aż się zasapał.

— Dobrze. Proszę poczekać.

Wrócił do jadalni. Gość czekając na niego, spacerował w koło stołu.

— Proszę pana, — zaczął, — sytuacja komplikuje się. — Mam meldunek, że Niemcy obstawiają teren odbioru zrzutu.

Ordon zatrzymał się.

— Ale pan powiedział, że ma pan punkt rezerwowy.

— Mam i osadziłem go. Jednakże chciałbym zwrócić uwagę, że odległość między jednym a drugim punktem jest niewielka.

— Ile wynosi?

— 5 — 6 kilometrów w linii powietrznej. Poza tym tamta polana jest o wiele mniejsza i nie tak dobrze zasłonięta.

— Hm, to niedobrze... — powiedział, wszedł tamten podjął na nowo swój spacer. Miał ręce założone z tyłu, głowę schyloną. Franciszek nie spuszczał go z oczu. Niemal od pierwszej chwili ich rozmowy zrodziło się w nim przekonanie, że między nim, a gościem istnieje jakaś nić bliskości. Tamten zdawał się również należeć do gatunku ludzi, którzy czują nieprzystępność otaczającego świata, lecz tej nieprzystępności nie mają zamiaru zwyciężać podstępem. Franciszek podświadomie czekał na rozmowę, która miała potoczyć się w nocy. Buty chodzącego wydawały lekki skrzyp, podłoga trzaskała.

— Jeżeli pan pozwoli... — zaczął Franciszek. Człowiek, który przedstawił się pseudonimem Ordon, zatrzymał się. — Przyszło mi na myśl, że Niemców należałoby czymś zająć. Pan powiedział, że ten zrzut jest bardzo ważny... Więc może bym z częścią ludzi zorganizował w tym czasie jakąś lokalną akcję, jakąś strzelaninę... No, wie pan, coś takiego...

Przybyły namyślał się przez chwilę.

— Nie — rzekł w końcu, — nie. Ten zrzut jest bardzo ważny i musimy zrobić wszystko, aby broń podjąć i zabezpieczyć. Ale niech pan nie zapomina, że nie jest to zrzut ostatni. Pan będzie ich musiał przyjąć jeszcze dużo. Więc wskazana jest ostrożność. Strzelanina zwróci uwagę Niemców, że coś się podejrzanego dzieje w terenie. Prawda? Poza tym taka nieprzemysłana akcja gotowa jest pociągnąć za sobą duże ofiary. To zupełnie niepotrzebne. Proszę oszczędzać siebie i swoich ludzi. Życie jest wielką rzeczą. Ofiarować je warto tylko za inne życia. Tymczasem o to nie chodzi. Gdyby domacali się tego drugiego pola, no, wtedy rozpocznemy walkę. Bo tę broń musimy ocalić... A propos: czy to pański zastępca przyszedł do pana z meldunkiem?

— Nie. A dlaczego pan się o to pyta?

— Oh, nic. Przyglądałem się po prostu tamtemu. Znam go jeszcze sprzed wojny. Byłem oficerem rezerwy w pułku, w którym on był podoficerem. Bardzo ambitny człowiek. Miał iść do szkoły oficerskiej do tzw. w ich języku „Smorgoni” w Bydgoszczy, ale sprawa rozbiła się o awanturę z dowódcą szwadronu. To była głośna historia w Mińsku. Poszło, już dokładnie nie pamiętam, o łatany mundur czy o dziurawe buty. Bywało tak, niestety. Bardzo go żałowałem. Był ambitny. Ale i zawzięty... Lecz ja pana zatrzymuję. Proszę wydać zarządzenia gońcowi...

Franciszek wyszedł do hollu. Gdy wrócił nie zastał już gościa w jadalni; tamten przeszedł do salonu. Wziął książkę Holznera z półki i zagłębiwszy się w fotelu, począł ją przerzucać. Jak to się zdarzało często wieczorem, spadło napięcie prądu: lampa przygasła, w powietrzu wirowały rude cienie. Człowiek wsparł głowę na rękę, objął palcami czoło, jeden z palców spuścił na nos, że wyglądał jak narosła podłużnym guzłem zmarszczka. Na jego twarzy,

mimo mroku, widać było napięcie i uwagę. Palce niecierpliwie zaginały brzeg strony, jakby śpiesząc się z jej przewróceniem. Nagle podniósł głowę.

— Czy by pan nie pożyczył mi tej książki — zapytał. — Odesłałbym ją panu za tydzień przez moją łączniczkę...

\*\*

Pół godziny minęło. Krzysia nie było. Franciszek odłożył książkę. Wolno, bez hałasu zeszedł na dół. Przez szparę w drzwiach zobaczył Różę. Siedząc w salonie na kanapie coś wyszywała. Jej twarz wydawał się skamieniała; można było pomyśleć, że kobieta zatrzymała oddech w pierś i zamarła w oczekiwaniu na coś. Przesunął się koło drzwi, wyszedł na taras. Tomek, siedząc na schodkach, czytał książkę. Leniwie podniósł twarz ku ojcu, a potem zaraz ją opuścił. Jego noga w pokopanym buciku kiwała się niby do taktu nuncionej bezgłośnie melodii. Nieobowiązuującym krokiem Franciszek zeszedł do ogrodu. Spoza drzew dochodziło ciągle buczenie. Szarobura chmura, której wczoraj nie było widać z ogrodu, wspięła się dzisiaj wyżej, zajęła pół nieba, wypłynęła ponad wysokie lipy, rosnące przed furtką. Jej górny, rozwichrzony brzeg roztopiał się w błękitnie niepokalanie gładkiego nieba.

Franciszek poszedł w ogród. Ciągnął się tutaj maliniak masą suchych, żółtych badyli. Między liśćmi odwijającymi się i pokrzynkami srebrnobiały spód podobny do brzucha ropuchy, czerwieniły się tu i tam jagody, jaskrawo czerwone — młode i ciemno amarantowe — dojrzałe. Nie zatrzymując się, roztargnionym ruchem ściągając najbliższe z białego trzpienia. Chrząścił mu cicho w ustach. Spośród malinowych krzewów nagle poderwał się jakiś ptak i, łopocząc skrzydłami, odleciał. Potem żaden już dźwięk nie przygłuszył jednostajnego hałasu walczącego miasta.

Za maliniakiem ścieżka spadała w dół. Ogród kończył się parkanem, w którym była mała, zielona furtka. Obejrząwszy się za siebie, minął ją. Zaraz za nią rozpościła się rozległy, błotnisty staw. Spokojna, szklista, lekko wypukła tafla patrzyła martwo w górę, podobna do wielkiego, wybaluszonego oka w okółu rzęs, którymi były trzciny i tataraki. Hałasy wojny skakały po powierzchni wody, niby płaskie kamienie, tzw. „kaczki”.

Franciszek szedł wolno ścieżką w krąg stawu. Na grobli rosły wierzby o poroźdieranych pniach, nachylone ku wodzie. Roztrzącał głową ich zwisające miętko gałęzie, podobne festonom zdobiącym balową salę. Mocno zaciskał brwi. Za stawem była łączka, na niej, w środku, inny, mały stawek, z czerniejącą między trzcynami krzywą skrzywką jazu. Samotny czarny punkt w beksztatnej masie zieleni wydawał mu się żywą istotą, rozpaczliwie zagubioną zdala od innych, jej podobnych. Podniósł głowę. Rozpięte niebo było nielitościwie puste, nie plamił go ani jeden obłoczek. Tylko chmura dosięgła już połowy widnokregu i mroczyła słońce.

Przeciął drogę, obrosła krzakami olszyny. Na tle rzadkiego lasu, podobnego poszczerbionemu grzebieniowi, leżała linia luźno rozsypanych domków. Zbliżał się do nich od tyłu, ścieżką na przełaj.

Trzecie zabudowanie należało do Wojtuli. Przy drodze stał warsztat: ciemna buda z wysokimi stołami wzdłuż ścian, na których piętrzyły się sterty żelastwa, zakurzonego i zczerniałego. Wkrąg wisiały obręcze rowerowe, pogięte błotniki, wiązki szprych, na ziemi leżały zdemontowane wózki dzieciinne, kawały blachy. Pachniało tu kurzem i ostrym zapachem rdzy. Zwykle, gdy tu zaglądał, Wojtula ze swoim pomocnikiem tarli pilnikiem jakieś żelazo, które wydawało rozdzierający pisk, lub obstukiwali robotę młotkiem. Nieraz spotykał tu Krzysia, gapiącego się na pracujących, lub samego czymś zajętego, z rękami pokrytymi burymi smugami od rdzy

i brązowym smarem. Słyszał jak syn mówił: „Panie Wojtula, nie pójdzcie. Pasuje i pasuje, a nic nie wychodzi!” Majster odrywał się od roboty, podchodził do chłopca, chudy, w granatowej koszuli, rozpiętej do pępka, w załuszczonej czapce, której nigdy nie zdejmował, na tyle głowy. „Bo Krzysz źle pasuje. O, tak trzeba”. Nie śpiesząc się, starannie pokazywał chłopcu. Pochylali się obaj nad robotą. W mroku warsztatu Franciszek słyszał ich zmieszane oddechy. „Ten, tu, cholera wystaje...”. „A niech Krzysz weźmie kłapcęgami...”

Za warszatem znajdował się niski, parterowy domek, przecięty jak wszystkie tutaj wzdłuż linii dachu, z jedną ścianą ślepa. Za domkiem, obok starej przygiętej jabłonki, stała krzywa buda. Nad nią wznosił się dawniej gołębnik, ale odkąd rozeszła się pogłoska, że Niemcy aresztują gołębiarzy, Wojtula pozbył się gołębi i zdjął gołębnik z drąga. Franciszek, idąc od strony łąki, miał budę przed sobą. Dzielił go od niej tylko niski płot z patyków. Za płotem rwał się na łańcuchu kudłaty psiak, szczekając zajadle. Przysiadł, marszczył nos, pokazywał zło, drobne zęby. Zanościł się skowytym, gdy łańcuch i obroza zatrzymywały go w skoku. W chwili, gdy Franciszek dochodził do płotu, z drugiej strony zobaczył idącego mu na przeciw syna.

Zmarszczył czoło. Chciał powitać Krzysia spokojnie, ale surowo. Lecz zaskoczył go zapal, bijący z twarzy chłopca.

— Tatusiu! — krzyknął Krzysz po chłopięcu, — tatusiu! — W paru susach podbiegł do ojca. Jego niebieskie oczy — oczy matki — ściemniały, jakby napłynęły ołowiem. — Tatusiu, muszę ci powiedzieć... Coś bardzo ważnego... Cicho, Bobik! — rzucił w przelocie psu. Porywczco położył dłoń na rękę ojca.

— Dlaczego nie wróciłeś wcześniej? — chciał mu przerwać. — Wiesz jak mama niepokoi się, gdy znikacie...

— Nie mogłem. To bardzo ważne. Tatusiu — zniżył głos, — nadawała Warszawa. Zapowiedzieli, że będzie podany ważny rozkaz.

Niecierpliwie Krzysia udzieliła się Franciszkowi.

— No i co? Nadali?

Chłopiec wybuchnął głosem stłumionym, lecz dygoczącym gorączką:

— Tak. Teraz. — Zadszał się. — Dowództwo wzywa wszystkie oddziały, aby szły na pomoc Warszawie...

— Wszystkie oddziały, aby szły na pomoc Warszawie... — powtórzył mechanicznie Franciszek.

— Tak! Zaraz!

Milczał. Więc nadeszło to, czego oczekiwał. Od paru dni żył w nim niepokój i bunt. Buntował się, słysząc wybuchający, w czasie, gdy kłęczał w kościele, hurgot, buntował się, słysząc go przez cały dzień, lekko tylko cichnący koło południa, buntował, gdy widział, jak ruda chmura od pierwszego zmierzchu zamieniała się w czerwony tuman, który gasił gwiazdy, pulsował i sypał iskrami po niebie. Świadomość tej walki za rzeką nie pozwalała mu przelykać obiadu, pozbawiła go snu, odpychała od książki. Ten huk był jak wołanie, na które on nie mógł odpowiedzieć.

Starał się opanować i zebrać myśli.

— Czy zapisaliście rozkaz?

— Tak — chłopie sięgnął do kieszeni, wyjął kartkę i podał ją ojcu. — Proszę, tatusiu...

Przebiegł szybko wzrokiem lakoniczną treść rozkazu. Nie oddał już kartki synowi.

— Idź prędko do domu — rzekł, — pokaz się mamie. Ja też tam zaraz przyjdę.

— Biegnę. Ale, tatusiu... — zatrzymał się, — jeżeli pójdziemy... jeżeli tatuś pójdzie, to i ja... prawda? Tatusiu?

— Idź teraz do domu.

— Ale... — chciał jeszcze coś powiedzieć. Lecz przełknął resztę słów. Sprawa

była tak ważna, że wątpliwości istnieć nie mogły. Odwrócił się i pobiegł ścieżką przez łąkę. Franciszek śledził go wzrokiem. Krzysz co parę kroków wyskakiwał w górę, po dziecinemu. Rozumiał go doskonale: sam doznawał pokusy biegnięcia przed siebie ile sił w nogach.

Kiedy syn zniknął w oddali, wszedł do zagrody Wojtuli i zapukał do drzwi budy. Majster otworzył mu i wpuścił go do środka. W ciasnym wnętrzu człowiek czuł się jak w klatce; zbite z łat ściany pełne były szpar, przez które wpadały w półmrok wąskie smugi blasku; sęki złościły się, jakby były wprawionymi w deskę płytkami bursztynu. Na stole stał aparat, obok leżały słuchawki.

— Książę już wie?

— Tak. Spotkałem Krzysia.

— I co książę na to?

W głosie Wojtuli słyhać było także podniecenie. Franciszek, siedząc blisko obok niego, czuł nieświeżą woń, jaka była tamtemu z ust i mdły zapach przepoczonej koszuli.

— To rozkaz — powiedział, — Myślałem, że wydany będzie wcześniej. Tamci nie powinni walczyć sami.

— Pewno... — przyznał Wojtula. Ale za tym słowem pozostało coś niedopowiedzianego. Franciszek znał Wojtulę, jako troskliwego ojca rodziny. Miał sześcioro dzieci. Kiedyś — był taki moment — Gestapo zaaresztowało kilku żołnierzy oddziału. Wyglądało na to, że wpadła organizacja, że po niżej do kłębka sprują całą sieć. Wtedy Wojtula przyszedł do Franciszka. Kołysząc się na nogach i obcieraając raz po raz o spodnie swoje wielkie, pokryte plamami rdzy i smarem ręce, powiedział: „Boję się, proszę księcia... O siebie, to mniejsza... Ale moja jest słaba... a bachory bez opieki...” Franciszek początkowo obświadczył uczucia zawodu. Lecz już po chwili uderzyła go waga złożonego wyznania: boję się. Wojtula stał przed nim czerwony, z czołem mokrym od potu, przestępując z nogi na nogę. Nie dowodził, jak dowodzili inni, że pozostawienie radia u niego to bezsens, to narażanie sprawy, to polska lekkomyślność... Powiedział prosto: boję się... I Franciszek poczuł, że mimo tych słów, rośnie w nim sympatia dla majstra. Miał ochotę położyć mu dłoń na wyświechtanej marynarce.

(dalszy ciąg w następ. numerze)

Nowości! Nowości!

LEW TOLSTOJ  
„Sonata Kreutzerowska”  
i Inne Opowiadania  
stron 244 — zł 600.—  
— p o l e c a —  
Księgarnia  
Zdzisław Gustowski  
Poznań, Św. Marcina 34  
do nabycia we wszystkich  
księgarniach

Nowości! Nowości!

JAN DOBRACZYŃSKI  
„WYBRAŃCY GWIAZD”  
wydanie II.  
Stron 304 — zł 900  
— p o l e c a —  
Księgarnia  
Zdzisław Gustowski  
Poznań, Św. Marcina 34  
do nabycia we wszystkich  
księgarniach



# Czytelnik uważa, że...

## DO REDAKCJI TYGODNIKA „DZIŚ I JUTRO”

W związku z zamieszczonym w numerze 40 z dnia 9.X br. czasopiśmie „Dziś i Jutro” artykułem p. t. „Sprawy najprostsze”, Referat Prasowy Ministerstwa Poczty i Telegrafów komunikuje, co następuje:

Taryfa dla czasopism, przewidująca niskie opłaty za ich wysyłanie, nie obejmuje czasopism wychodzących częściej niż 2 razy w tygodniu, jeżeli mają być doreczane w mieście, w którym się ukazują. Wynikiem tego jest pozornie absurdalność faktu, że opłata za przesłanie dziennika abonentowi mieszkowemu jest wielokrotnie wyższa od opłaty za wysyłanie dziennika do innej miejscowości. Ograniczenie zastosowania taryfy dla czasopism wynika z trudności, z jakimi poczta musiałaby się spotkać w przypadku konieczności doręczenia wielkiej ilości dzienników prenumeratom miejscowym.

W obecnej fazie rozwoju eksploatacji poczta zwraca szczególną uwagę na zaspokojenie potrzeb wsi, na podniesienie wsi w dziedzinie oświaty i kultury, na jej zbliżenie do miasta przez zaprowadzenie służby listonosza wiejskiego w każdym zakątku kraju, na udostępnienie wsi taniego i łatwego sposobu nabycia gazety. Potrzebę taką odczuwa mieszkanie miasta w dużo mniejszym stopniu wobec łatwości kupna gazety w kiosku.

Kierownik Sam. Ref. Prasowego Ministerstwa Poczty i Telegrafów w. z. L. Szerszenowicz

## LICHNIAK NIE MA RACJI

Są książki, które dzięki swej niezwykłości zwołują doskonałych niekiedy krytyków. „Krytyk — pisał S. Calvet w ciekawej książce „O twórczości i krytyce katolickiej” — działając z wolą na przedmiot już okleśloną może, jeżeli ma cokolwiek doświadczenia w zakresie piękna, rozpocząć szlaki natchnienia i odkryć źródła, które były ukryte dla samych twórców”.

Podobne zadanie wytyczył Zygmunt Lichniak swemu artykulowi pt. „Książka, do której się wraca”, zamieszczonym w „Dziś i Jutro” (nr 205). Książka, o której pisał, była niedawno wznawiana powieść Jerzego Zawieyskiego „Droga do domu”. Sądy, jakie Lichniak w owym artykule wypowiedział,

były bardzo ciekawe i odkrywcze, — nasuwały jednak cały szereg zasadniczych kwestii, które spróbuję pokrótce zreferować.

Zacznijmy od założenia artykułu, który wg. zamierzeń autora nie miał być recenzją z powieści Zawieyskiego, lecz „próbą przedstawienia książki jako walki myślicieli — artysty z potęgą Nieznanego i Niedocenianego, próba powtórnego prześledzenia dróg, jakimi autor wrażywał się w gąszcz tajemnic ludzkiej (zadziwiająca zbieżność z Calvetem — dopisek mój W. S.), wreszcie próbą zarejestrowania wszystkich jego osiągnięć i pomyłek (podkreślenia moje). Wprawdzie trudno mi uchwycić różnicę pomiędzy koncepcją Lichniaka a konwencją klasycznej rozprawki krytycznej i równie trudno powiązać ową „walkę z Nieznanym i Niedocenianym” z twórczością Zawieyskiego, a zvl. z „Drogą do domu”, — ale na podstawie przytoczonych zdań można się zorientować, że celem artykułu było ukazanie całości książki i całości jej problematyki.

Skonfrontujmy teraz kluczowe założenie artykułu z jego treścią. I tu czeka nas pierwsze zaskoczenie. Lichniak bowiem zajął się tylko zewnętrzną powłoką książki Zawieyskiego, jej jakby „naskórką”: wszystkie rozważania jego sprowadzają się do drobiazgowych rozrządzeń, konfliktów erotycznych „Drogi do domu”. A przecież już po przeczytaniu stu stron książki czytelnik odczuwa, że w niej nie chodzi o owe „fatalistyczne konflikty”, które tak zasugerowały Lichniaka, ale o coś zgoła różnego, co Zofia Starowieyska-Morstinowa (Tyg. Powsz. nr. 61, rok 1946) określiła „drogą ku odnalezieniu jednolitej, świadomej i odpowiedzialnej jaźni człowieka”. Jedno zdanie z tego artykułu Lichniak sformułował podobnie, mówiąc, że powieść Zawieyskiego jest „próbą dokonania możliwie dokładnej analizy procesu psychologicznego, polegającego na ustalaniu stosunku jednostki wobec otaczającego ją świata”. Szkoda, że to słuszne twierdzenie nie pokrywa się z treścią artykułu, która je dziwnie skrywa i przytłacza, że jest ono jakimś „produktem ubocznym” całości rozważań. (Na marginesie dodam, że należało tu uwzględnić syntetyzujący charakter „Drogi do domu”, stawiający ją w antypodach

szkoły Prostowskiej, czego Lichniak nie czyni, podkreślając analityczny charakter powieści.

Przedstawienie przez Lichniaka roli miłości w „Drodze do domu” zasługuje jeszcze na chwilę uwagi. Autor artykułu w „Dziś i Jutro” porównywał ją z Szekspirem („Romeo i Julia”), Goethem („Cierpienia młodego Werthera”) i Gustawem (nie wiadomo dokładnie, czy z IV cz. „Dziadów”, czy może nawet z romansu pani Krüdenner).

Przeciw tej właśnie próbie powiązania miłości z powieścią Zawieyskiego z romantyczną koncepcją konfliktów erotycznych muszą ze szczególną stanowczością zaprotestować. Nie przekonają mnie do tej śmiałej paraleli wyliczane przez Lichniaka pary nieszczęśliwych kochanków z „Drogi do domu”. Istotny jest bowiem fakt, że miłość romantyczna była czynnikiem determinującym bohaterów, motorem ich tragedii. I nie było z tej sytuacji wyjścia. Aby mógł narodzić się Konrad, Gustaw musiał umrzeć. A u Zawieyskiego miłość jest czynnikiem afirmatywnym, wydatnie wpływa w samookreślanie się świadomości Pawła. Czyż to jest naprawdę koncepcja romantyczna?

W jednym z rozdziałów swego artykułu, zatytułowanym wymownie „Skret na bezdroża”, Lichniak podsumowuje wnioski z obszernej analizy „mądrości

uczuć” w powieści Zawieyskiego. Twierdzi tam m. in., że owa „mądrość uczuć” we wszystkich wypadkach doprowadziła do tragedii”. Być może dla Lichniaka piękna śmierć Pawła w obronie katanego człowieka jest fatalistyczną konsekwencją jego miłości do Teresy. Ale dla mnie takie zdanie jest absolutnie nie do przyjęcia.

Zajmijmy się także przez chwilę ostatnim punktem zawartości merytorycznej artykułu z „Dziś i Jutro”, w którym Lichniak zarzuca Zawieyskiemu, że „Droga do domu” stworzona jest niezgodnie z „konwencjami swego czasu”, a co za tym idzie jest „odwrotnym”, który „mści się na prawdzie utworu”. Konkretniej twierdzi on, że „bohaterowie (Zawieyskiego) znajdują źródło swoich konfliktów tylko w sobie”, że „takich bohaterów potrafił konstruować już Przybyszewski” i — o czym już mówiliśmy — że koncepcję miłości u Zawieyskiego „usankcjonował już romantyzm”, całość zaś rozumowania zamyka niesłusznym stwierdzeniem, że przez cały czas uchylał się od „ryzykownych paralel historyczno-literackich”.

Pomijając kwestię już wyjaśnioną i zatrzymując się jedynie na zarzucie kołowania moderny, przytoczę Lichniakowi dwa charakterystyczne cytaty z powieści Zawieyskiego: „Ich życie było trudne. Powietrze, którym oddychali,

szczególnie Teresa, było nie na miarę każdego płuc...” „Nie tylko więc Teresa była przyczyną wnikania w siebie, lecz atmosfera wojny z jej ohydą i okrucieństwem, z jej pogardą i brutalnym zaprzeczeniem tego właśnie, co tak Paweł pragnął ocalić”. Komentarze uważam za zbyt techniczne.

Nie mogę też z wyluszczonego powyżej względu zgodzić się z zakończeniem artykułu Lichniaka, w którym autor dopatruje się największej wartości książki w jej „bledzie wewnętrznym”, to znaczy — w odwołaniu do romantyzmu i moderny. Stwierdzenie tylko, że jednak z artykułu Lichniaka wynika sąd o „Drodze do domu”, tylko do sądu tego zgłaszam kilka poprawek.

Wacław Sadowski

## APEL

Przygotowuję studium naukowe o twórczości Stefana Grabińskiego. W związku z tym zwracam się z uprzejmą prośbą o skomunikowanie się ze mną do wszystkich osób, które pozostawały niegdyś w kontakcie ze Stefanem Grabińskim lub posiadają jakiegokolwiek materiały (drukowane i rękopiśmienne) odnoszące się do życia i twórczości tego pisarza. Mój adres: Dr Artur Hutnikiewicz — Toruń, ul. Mickiewicza 20, II p. m. 3.

Z góry gorąco Panu Redaktorowi dziękując łączę wyrazy szacunku.  
Dr Artur Hutnikiewicz

# Puszkina a romantyzm

(dokończenie ze str. 10-ej)

blacie zagrzejn, nim jak płaz pójdzie czołgać się i zadusić się mułem. Tragicznym jest jednak Oniegin od Henryka przez to, że gdy Henrykowi łaska boża tylko na serce nie spadała, to o Onieginie powiedzić można, że w ogóle nań nie spadała.

Romantyzujący degenerat przypomina także innego degenerata, mianowicie Płoszowskiego; oni obaj estetyzują w życiu i eksperymentują, oni obaj żyją „bez dogmatu”. Ale gdy polski arystokrata, przegrawszy stawkę o miłość, romantycznie, „rycersko” popelnia samobójstwo, pustkę przed sobą widząc i rozpacz czując w sercu, to arystokrata rosyjski nawet na taki rzekomo bohaterstwo nie jest w stanie się zdobyć, ale zapada w stan obojętności. Tu osądził Puszkina romantyzm ostatecznie.

Takie to były owe trzy etapy, przez które myśl i sztuka Puszkina przeszła. Ale to nie wyczerpuje jeszcze zagadnienia. Bo trzeba by omówić tyle jeszcze innych romantycznych zjawisk poezji Puszkina. Trzeba by przypomnieć występujący w jego poezji motyw przeczuć, tak wspaniale zilustrowany snem Tatiany; motyw nocy; motyw zbójnicki kilkakrotnie powracający, motyw obłędu w sposób świetny wprowadzony w „Jeźdźcu miedzianym” i w „Dubrowskim”; motyw grozy pokazany w sposób wstrząsający w „Damie Pikowej”; rozliczne, po całej poezji rozsypane motywy ludowe, baśniowe, fantastyczne, historyczne, średniowieczne, bohater-skie, rewolucyjne, wolnościowe itd., itd. Tak przechodząc całą twórczość Puszkina, trzeba by z niej wyłowić wszystko to, co w niej było wspólne z twórczością romantyków. Z drugiej strony należałoby rozpatrzyć wszystkie te cechy i elementy jego twórczości, które nie są romantyczne, ale wiążą go z sztuką klasyczną i z sztuką epoki realizmu. Dopiero wtedy sylwetka Puszkina — artysty i Puszkina — człowieka wyraźnie się zarysuje. Stwierdzić bowiem i to jeszcze trzeba, że nie znajdziemy w jego dziele wszystkich głównych cech romantyzmu, a więc niema tu ani idei nieskończoności, ani koncepcji ro-

mantycznego mistycyzmu, ani idealizmu jako zasady poglądu na świat, ani wielu innych mniej lub więcej dla romantyzmu istotnych zjawisk i elementów. A przeciwnie, w dziele jego znachodzą się tak bardzo charakterystyczne dla klasycyzmu cechy jak kult formy, pojęcie jako nieodzowny harmonijnie z tzw. treścią zespolony czynnik, jak też uprawianie klasycznych rodzajów literackich, jest tu oświeceniowy sensualizm i oświeceniowy sceptyczny krytycyzm, jest swobodny, osiemnastowieczny ironiczny, a nawet cyniczny stosunek do religii, jest dla kultury literackiej XVIII wieku znamieny ton frywolności i liber-

tyzmu, a także można dostrzec hołdowanie idei postępu, uzależnione od kultury intelektu. A wreszcie występują w dziele jego niektóre zjawiska znamienne dla sztuki realizmu, przede wszystkim w ujmowaniu życia.

Ale i to wszystko jeszcze nie wyczerpuje osobowości twórcy, który się nazywa Aleksander Puszkina. Nie jest rzeczą możliwą zamknięcie jej w ramy definicji. Puszkina bowiem przerósł swoją epokę, jak epoki, w których żył, przerósł Dante, Shakespeare, Goethe, Victor Hugo, Mickiewicz. — Wyrósł poza czas i poza środowisko.

Stanisław Kolbuszewski

## Do

### P.T. Prenumeratorów i Czytelników

Administracja tygodnika „Dziś i Jutro” apeluje do wszystkich P. T. Prenumeratorów i Czytelników, aby podjęli trud rozpowszechniania naszego pisma.

Jeżeli każdy z naszych prenumeratorów zjedna nowych pięciu, tygodnik nasz uzyska stałą podstawę finansową, jeżeli abonament opłacany będzie punktualnie, to podstawa finansowa okaże się najbardziej solidną i niezawodną.

Wówczas będziemy mogli rozbudować, rozszerzyć cały szereg naszych działów, urozmaicić pismo ilustracjami, nie nadużywać ideowej, bezinteresownej postawy autorów, zamieszczających swe artykuły na naszych łamach, wywiązywać się punktualnie ze swych zobowiązań, słowem pozbyć się wszystkich tak bardzo utrudniających pracę spraw, związanych z ciężką sytuacją naszego pisma.

Czytelnicy, Od Was zależy to, jaki poziom osiągniemy w przyszłości, czy będzie się on podnosił. Najlepsza wola redakcji i największy wysiłek nie są w stanie przezwyciężyć trudności finansowych.

Prenumeratorzy, opłacajcie punktualnie prenumeratę. Czytelnicy, przestańcie być wyłącznie tylko czytelnikami, stańcie się prenumeratorami.

ADMINISTRACJA „DZIŚ I JUTRO”



Redagują: Bolesław Prasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto PKO Nr 1 727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne.

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-79232